№ 8 Warszawa, dnia 7 (19) Lutego roku 1881.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:
Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we
W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar.
LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c 80 w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z prze
w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart
sylką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr. 1530 (nowy 20).

MIEJSCE KOBIETY W SPOŁECZEŃSTWIE.

Konferencya Legouvego w Sorbonie.

streszczona

przez

Sewerynę Duchińską.

Zagadnienie dotyczące miejsca kobiety w społeczeństwie, postawiono dziś na porządku dziennym we Francyi. Autorowie dramatyczni biorą je za przedmiot swych utworów; przedstawiają rzecz to z komicznej, to z poetycznej strony, adwokaci u kratek sądowych, przemawiają gorąco za kobietami, składając częstokroć ich winy i słabości, na karb upośledzającego je prawa; publicyści różnych obozów zapełniają tą sprawą mnóstwo szpalt dziennikarskich, pokazując ją w najrozmaitszy sposób. Aby wyprowadzić jakiś wątek z tego chaosu, Akademia Francuzka naznaczyła na ten rok nagrodę 5,000 franków, za rozprawę najlepiej wyrozumowaną w tym przedmiocie. Wymowny Akademik Legouvé, korzystając z zaciekawienia powszechnego wystąpił kilka dni temu z konferencyą w wielkiej Sali sorbońskiej w obec dwóch tysięcy słuchaczów.

Prelegent nie badał gruntownie podjętego tematu, trzymał się raczej na powierzchni. Szło mu o rzucenie kilku żywotnych pytań, zostawiając je do rozwiązania licznemu auditoryum.

Nie wdając się w żadne spory z prelegentem, przytaczamy w treści jego konferencyą, aby dać poznać czytelnikom naszym, jak ta sprawa stoi dziś we Francyi, to jest jak ją pojmują pierwsi przedstawiciele intelligencyi francuzkiej.

Mówca stawia naprzód pytanie: jak przeszłość pojmowała stanowisko kobiety? i odpowiada na to:

„U ludów dzikich, kobieta spełnia dotąd najtwardsze posługi, nosi za mężem broń i ciężary co znaczy że jest jego sługą. Tak było we wszystkich pierwotnych społeczeństwach.

„Przejrzymy, dodaje, dzieła poetów i filozofów, jedni mówią: „Kobieta jest aniołem!" drudzy: „Kobieta, to szatan wcielony". W jednem i drugiem określeniu mieści się cząstka prawdy.

„Słynny filozof ośmnastego wieku Monteskiasz, w dziele *O Duchu Praw,* wyraził się w ten sposób: Natura obdarzyła kobietę wdziękami, chciała zatem aby wpływ jej skończył się gdy wdzięki przeminą.

„Roussian jakkolwiek spiritualista dalej jeszcze posuwa się w tym kierunku. „Kobieta, mówi on, stworzona wyłącznie na to aby podobać się mężczyźnie. Ze strony mężczyzny, rzecz to nie tyle ważna, ten podoba się zawsze bo ma siłę.

„Nastąpiła rewolucya. Dwaj znakomici mężowie stanu, Sieyes i Condorcet, domagają się dla kobiety godniejszego stanowiska w rodzinie. Powstaje przeciw nim Robespierre. Ten propagator równości, wzgardził połową rodzaju ludzkiego, w planie oswobodzenia świata.

„Przyszedł czas konsulatu; układano kodeks cywilny. „Sprzeciwia się duchowi francuzkiemu, wyrzekł na radzie pierwszy konsul, aby kobieta mogła czynić co jej się podoba."

„Za restauracyi Burbonów, Bonald wyraził się stanowczo: „Nie ma równości między mężczyzną a kobietą, i nigdy jej nie będzie."

„W taki to sposób przeszłość uważała kobietę. Są na niebie ciała drugorzędne, są satelity, których przeznaczeniem krążyć około ciał wyższego rzędu; taka rola księżyca względem ziemi. Otóż w pojęciu przeszłości, kobieta była księżycem dla mężczyzny. Niektóre ciała, jak Jowisz mają kilka księżyców; nie jestże to obrazem poligamii?

„Jednem słowem, przeszłe wieki określiły kobietę jako istotę niższą.

„Azaliż takiem jest, pyta mówca, określenie wieku dziewiętnastego? Bynajmniej! odpowiada na to.

„Wszystkie prawa dotyczące kobiety, postanowione były według dawniejszych pojęć; uznają w niej zatem istotę podrzędną. Czyliż te prawa mają obowiązywać wiek dziewiętnasty? Bynajmniej!"

„Powiedzmy śmiało prawdę, powiedzmy ją wbrew temu co wyrzeczonem było: Kobieta równą jest mężczyźnie! Nie idzie zatem, aby dla podniesienia jej na właściwe stanowisko, zmieszać bezwarunkowo obie połowy rodzaju ludzkiego; byłoby to ubliżeniem dla kobiety. Potrzeba rozwijać jej władze, podnosić ją coraz to wyżej, ale w obrębie niewieściego jej charakteru. Równość obok różnicy, oto zasada nasza. Będziemy się starali usprawiedliwić ją i zastosować, określając kobietę jako młodą dzieweczkę, jako żonę, jako matkę, wreszcie jako niewiastę w bezwzględnem znaczeniu słowa.

Po tym ogólnym wstępie, prelegent przechodzi do szczegółów. Podejmuje kobietę od kolebki.

„Dzieciątko, mówi on, przychodzi na świat; przez ileż to wieków, zasłyszany wyraz *córka*, zasępiał oblicza rodziców, stając się powodem wstydu i zmartwienia? Nie był to jedynie próżny przesąd. W rodzinach feudalnych, na synach wyłącznie spoczywał blask rodu i imienia. Dziś nawet we wszystkich warstwach społecznych, urodzenie syna daje ojcu lepszą na przyszłość rękojmię. Przemysłowcy mieli w nim wspólnika i spadkobiercę podjętego zawodu; rzemieślnik obznajmia go z warsztatem, znajdzie w nim pomocnika, rolnik przekaże mu zagon przesiąkły krwawym potem. Każdy wreszcie

pozostawi synowi imię swoje. Nie sądźmy bowiem aby tylko u szlachty imię zachować miało wartość. Drzewo genealogiczne istnieje w najuboższych nawet rodzinach; uczciwość tradycyjna zastępuje tu miejsce herbu.

„Córka nie sprawia tej pociechy. Każdy roztropny ojciec, tuląc ją po raz pierwszy w objęciach, pyta niespokojny: Co z niej będzie? życie tak trudne, tak niebezpieczne dla dziewczęcia!... Jeśli uboga, łatwo popaść jej w ostateczną nędzę; jeśli bogata ileż moralnych udręczeń, przyszłość gotuje dla niej! Jeśli zmuszoną będzie żyć z własnej pracy, jak zapewnić jej przyzwoity byt w społeczeństwie, gdzie kobieta zarabia ledwie tyle aby nie umrzeć z głodu? Jeśli nie ma posagu jakże ją wydać za mąż, jak ją zabezpieczyć od upadku wśród tylu ponęt, a jeżli upadnie jak ją podnieść wobec nieprzebłaganych sądów świata?

Tu mówca zatrzymuje się chwilę nad smutnym stanem starej panny w społeczeństwie francuzkiem.

„Wyraz ten stara panna, przejmuje ojców zgrozą. Nie dosyć że biedaczka skazana na życie samotne, bez pociechy, bez ciepła domowego ogniska, częstokroć w niedostatku, ale co więcej, otoczona nieraz śmiesznością.

„Stara panna wstydzi się oczu ludzkich, czuje się być przedmiotem złośliwych pogadanek. Zarzucają jej kwas i gorycz, a któż to uczynił ją kwaśną, kto goryczą przepełnił jej serce? Te drobne wady, jakże hojnie opłaca biedna ofiarą i wielkiemi cnotami. Jeźli ma rodzeństwo jak troskliwie niańczy bratanki, jak macierzyńską otacza je miłością! Jeźli zmuszona żyć samotnie, naucza dziatwę wiejską, karmi i odziewa sierotki.

„Prawo nie może poprawić losu tych wydziedziczonych istot; potrzeba na to korzystnej reformy w obyczajach. Anglia daje w tym względzie zbawienny przykład. Tam kobieta nie potrzebuje zasłaniać się obcem nazwiskiem, aby zjednać sobie uznanie i winny szacunek. Ileż tam zasług położyły niezamężne kobiety. Panna Edgewort szerzyła światło wśród Irlandczyków, panna Lowel roztoczyła opiekę nad amerykańskiemi robotnikami, panna Martineau walczyła zażarcie w sprawie usamowolnienia murzynów, panna Nichtingale zdobyła w wojnie krymskiej nazwę prawdziwej bohaterki. W obecnym stanie rzeczy gdy każdy pochłonięty dzienną sprawą myśli tylko o sobie, te szlachetne istoty oderwane od życia, wzięły za cel myśléć o drugich. Takie popędy należy popierać całą siłą. Dopóty społeczeństwo francuzkie nie stanie na szczeblu prawdziwej godności, jaką zdobyć powinno, dopóki nie uszanuje starych panien, nie uczci starych kobiet."

Tu prelegent wylicza szczegółowo niebezpieczeństwa grożące młodym dziewczętom, rzuconym w świat bez doświadczenia, bez opieki, bez troskliwego wychowania, żałujemy że nie dodał: bez religijnych zasad. Pomijamy szereg tych niebezpieczeństw. Obraz ich bardzo smutny; obraz to godzien pilnej uwagi prawodawców i moralistów, ale niezupełnie może odpowiedni jako przedmiot popularnej konferencyi, a tem samem i sprawozdania w Tygodniku przeznaczonym dla panien.

Prelegent wykazuje postęp dokonany w prawach francuzkich na rzecz kobiet, w ciągu dziewiętnastego wieku. Na początku tego stulecia, przypuszczone do równego działu z braćmi w majątku rodzicielskim, dziś widzą roztwierające się przed niemi wrota prowadzące de skarbów wiedzy, dotąd im niedostępnych. Tu Legouvé przypomina jak trzydzieści lat temu, podał do rządu wniosek o urządzenie Liceum dla kobiet; potępiono go jako socyalistę. Obecnie Senat zawotował tenże wniosek podany do Izhy przez deputowanego Sec; pomysł stanie się wnet rzeczywistością.

„Ale, dodaje mówca, jeźli [postęp] okazuje się w faktach, nie przeniknął on do gruntu obyczajów. Wyższe nauki dla kobiet znajdują w poważnych nawet umysłach silną opozycyą. „Pedantyzm, mówią niektórzy, zabije cały wdzięk niewieści! Na czem polega urok kobiety? Na tem że nie rozumuje, że pozostała kwilącą ptaszyną, dzieckiem zamiłowanem w błyszczących bawidełkach. Wasz program, mówią inni, zabije rodzinę. Któż będzie niańczyć niemowlęta, jeźli kobieta zapatrzy się w gwiazdy? Wasze córki staną się *Sawantkami*; lecz gdzie będą żony i matki?"

Na te zarzuty, tak odpowiada Legouvé:

„Obowiązek żony i matki, nie na tem jedynie polega aby obmyśléć obiad, rządzić domownikami, czuwać nad dobrobytem i zdrowiem rodziny, rozsiewać miłość i pociechę w około siebie. Wszystko to wiele znaczy, lecz trzeba czegoś więcej. Trzeba kierować i wychowywać, a więc mieć po temu siły, posiadać wyższe ukształcenie. Bez nauki, trudno być małżonką i matką, w całem znaczeniu tego słowa. Nie idzie wcale o to, aby odkrywając prawa przyrody, przed niewieścią intelligencyą, czynić ze wszystkich córek naszych fizyczki i astronomki. Idzie o to raczej aby nauką poważną dzielnie zahartować umysł kobiety, a tem samem uzdolnić ją do podzielenia idei męża, do zrozumienia nauk dawanych synom.

„Pokazują nam wszystkie niewłaściwości wyższej instrukcyi, ale przepominają o zgubnych niebezpieczeństwach nieuctwa. Dla czego, pytam ta kobieta wiecznie znudzona? Bo nic nie umie. Dla czego tamta kapryśna, próżna, zalotna? Bo nic nie umie. Da czego inna roztrwania na stroje całomiesięczny zarobek męża, czemu włóczy go za sobą strudzonego na widowiska i bale? Bo nic nie umie, bo nie rozbudzono w niej wyższej myśli, bo świat intelligencyi szczelnie zamknięty dla niej! Świat tylko próżności i bezładu stoi przed nią otworem! Nauka z której szydzą nieraz mężowie, niejednego z nich, uchroniłaby od bezcześci.

„Gdyby nauka nie była nawet potrzebną żonom i matkom, ciągnie mówca, kobieta miałaby i tak do niej niezaprzeczone prawo. Smutny objaw w społeczeństwie naszem uderza mnie i rani boleśnie. Wszystkie talenta, wszystkie zalety rozwijane troskliwie w dziewczętach, mają zawsze na celu małżeństwo, to jest męża. Rodzice widzą i wychowują w córce, wyłącznie przyszłą małżonkę.

„Na cóż jej się przyda ten talent, lub ta nauka, kiedy raz pójdzie za mąż? To zdanie słyszymy bez ustanku. Jej wykształcenie, jej rozwój osobisty, jest więc środkiem a nigdy celem. Albož to kobieta pozbawiona samoistności, nie będzież przeto dzieckiem Bożem, jeśli nie ma być towarzyszką małżonka? Nie maż ona duszy odrębnej, nieśmiertelnej jak nasza, zdolnej jak nasza doskonalić się i dążyć w nieskończone wyżyny? Czyliż odpowiedzialność za winy, i zasługa za cnoty, nie jest też jej udziałem? Wyżej nad powołanie małżonki i matki powołanie przemijające, przypadkowe, które śmierć kruszy, oddalenie zawiesza, które nie zobowiązuje wszystkich; wyżej nad to, istnieje dla kobiety zadanie wiekuiste, niewzruszone, panujące nad wszystkiem, zadanie ludzkiej istoty. Z tego tytułu ma prawo do najwyższego rozwoju tak umysłu jak serca. Niechże więc ustąpią wszelkie zapory stawiane w imię jednodniowych praw wszych... w imię wieczności przynależy jej światło!

(d. n.)

Historya o Imci Panu Kurdwanowskim
KTÓRY SIĘ W CZEPCU URODZIŁ.
GAWĘDA

przez

Ludwika Niemojowskiego.

Są ludzie tak zasobni w łask Bożych nasienie,
Iż nie potkną się krocząc tym płaczu padołem,
A złotej aury życia świetlane promienie
Jakoby aureolę tworzą nad jej czołem;
W zaraniu dni dziecięcych nie znają co łezki,
W dojrzałych leciech obce im gorycze świata,
I od pieluch kolebki aż do grobu deski,
Los dla nich z kwiatów szczęścia barwny wieniec
[splata.
Takowym był szczęśliwcem wśród drużyny bratniej,
Imci pan Barnaba Korwin Kurdwanowski,
Mąż wielce szanowany, fortuną dostatni,
Chorąży ziemi rudzkiej, Stolnik ostrzeszowski.
Persona ta nie zmięta nigdy fatum srogiem,
Z sercem zawżdy dla ludzkiej niedoli otwartem,
Stanęła w torze życia przed ludźmi i Bogiem,
Niby brant co zdumiewa kondycyi swej hartem.
Bywa źle, bywa dobrze — a choć się wygrzebie
Człek z biedy, wnet za chwilę w karystyą po-
[padnie,
Panu zaś Stolnikowi w wszelakiej potrzebie,
Wszystko się jak na urząd fortowało składnie.
Jeszcze był pacholęciem — ot tyćkim mosanie,
Jeszcze nie znał przeróżnych żywota kolei,
A już mu lat młodzieńczych najpierwsze zaranie,
Zabłysło światłem zdolnej w ponęty nadziei:
Rodzic chcąc wyformować synalka na świecie,
Przyjął za preceptora ojca Oktawiana
Z zakonu Jezuitów, ażeby w lat kwiecie,
Była mu wszelka mądrość ksiąg uczonych znana;
Pater miał ciężką rękę a narowy wraże,
Lecz chłopcu tyle szczęścia los błogi użyczył,
Że chociaż się i zbajał czasem przy Alwarze,
Nigdy go ksiądz preceptor plagami nie śćwiczył.
Do łba lazła nauka i pięknie i gładko,
Tak że kiedy w szkolne przyszło wstąpić progi,
Odpowiedział na wszystko z przytomnością rzadką,
Otwarłszy sobie nowe do sukcesów drogi.
O *proformę*, *infimę* trącił mimochodem,
Nie ślęczał też przechodząc mozoł *gramatyki*
Tyle zmudnej każdemu — i jednym zachodem
Dotarł gracko mosanie aż do *retoryki*;
A że przytem znał prawo ekspedite z księgi,
Bo *legum volumina* zwertował jak trzeba,
Mógł z ław szkolnych odrazu bez dalszej mitręgi
Mieć, chodząc na palestrę kęs zdrowego chleba.
Lecz on nie żądny nigdy tych szpetnych frymarek,
Z których ludzie grosz spory do mieszków swych
[garną,
Wziął sobie z wolą ojca nieduży *folwarek*,
I tam siadł na posesyi siejąc plonów ziarno.
A była to po prostu okrutna lichota:
Miasto zbóz, które niwy żółtym kłosem złocą,
Smugi pól zapuszczonych, trochę piasku, błota,
Choć się schyl, to dalibóg nie ma prawie po co,
Tak mawiały sąsiady: pan Jacek, pan Sieciech,

Biadając nad nieszczęsnym młodzieniaszka losem,
On jednak *stande pedes*, po trzech blizko leciech,
Opuścił marną glebę z pełnym tynfów trzosem;
Widząc zasię ów szczupły horyzont za ciasnym,
By mógł z niego pożytek wyciągnąć dla siebie,
Zapragnął na zagonie gospodarzyć własnym,
I kupił wieś intratną w pięknej ziemi glebie.
Ledwie wlazł, już mu wszystko poszło jakby [z płatka:
Grunt orał, krajał skiby, obsiewał zagony,
Pszenicą, żytkiem, owsem — a wierna czeladka
Zwoziła jeno z pola chlebodajne plony.
Czego tknął to i jego — spraw doczesnych wątek
Snuł mu się w złotą przędzę na *życiowym torze:*
Z owczarni miewał sporo rok rocznie jagniątek,
W stajni koni pięćdziesiąt, sto wołów w oborze...
Myślicie zaś że kutwił, lub zbudzony wcześnie
Dreptał sługom po piętach gnając do roboty?
Nie — jemu szczęście zwykle przychodziło we śnie,
Niby rannej jutrzenki promień słońca złoty,
A krewniacy, druhowie i sąsiadów grono,
Widząc jak mu los w wielkiem zdarzeniu wy-[godził,
Mawiali: toć nie dziwy — ot po prostu pono,
Imci pan Kurdwanowski w czepcu się urodził!
Jezu Chryste, myśl owa wrażeniem bolesnem
Zwładnęła jego duszę, toć to rzecz jest znana,
Że kto wciąż zbiera miody w żywocie doczesnym,
Ten po śmierci nie ujrzy świętej chwały Pana.
„Potężnym swoim palcem dotknij mnie o Panie!...”
Wołał składając dłonie w nabożnym ferworze,
Nad niegodnym Twym sługą uczyń zmiłowanie,
Niech poznam kęs niedoli na życiowym torze!...

Próżno błagał i prosił o karystyą jaką,
Pragnąc dźwigać krzyż Pański wśród życiowej [drogi,
Los wciąż dlań uśmiechnięty z szczodrotą jednaką,
Pełną garścią mu kwiaty rozścielał pod nogi.
Pewnego razu jednak w skwarnej lata porze,
Przyszła burza, trzasł piorun, i z krescencyą całą
Spłonął folwark — a grady zbiły w polu zboże,
Tak że z rocznych zasobów ni krzty nie zostało.
„Bóg dotknął, ot i dobrze — spadł mi ciężar [z głowy!”
Krzyknął rad niesłychanie onej alternacie...
Ledwie jednak to wyrzekł, już w bramie dworowej
Zjawia się jakiś jeździec o spylonej szacie,
To posłaniec od króla który w oną chwilę,
Na starostwo Owruckie wiózł przywilej w darze,
Starostwo zaś dawało trzykroć razy tyle,
Ile stracił przy burzy, gradzie i pożarze.
„Ah!... westchnął — już widzę nie zażyję biedy
Opływając w dostatki z karyerą tak świetną,
Wojna wisi na karku, pójdę bić się z Szwedy,
Tam może zkiereszują lub też łeb obetną!”
I stanął przyodziany złocisto, wspaniale,
W pas lity, żupan biały, opończę pąsową,
Niby na festyn dworu, lub królewską galę
Tak, że kto tylko spojrzał wnet pokręcił głową
Mówiąc: „toć na mogiłki powędruję prosto”...
A pan Hetman koronny widząc to ubranie
Zawołał zdziwion wielce: „Hej, mości starosto,
Wyglądasz jak szczupak na wilię w szafranie!
Przebierz się panie bracie, na cóż biedę płodzić,
Dość jej już w tym znikomym żywocie narosło,
A nie ucz cudzych kulek kędy mają chodzić.
I tak ci się da we znaki wojenne rzemiosło.”
„Ślub Bogu uczyniłem!... wyrzecze półgłosem,
On zaś na to odpowie: „A no, gdy jest votum,
Myślcie już dufni w łaskę sami nad swym losem,
Boć przecie finis bonus laudabile totum!”
Rozpoczęła się akcya, tysiące padało,
Niosąc na polu chwały w ofierze swe życie,
Starosta zaś z potrzeby każdej wyszedł cało,
Za okazaną chrobrość nagrodzon sowicie.
Pan Bóg o mnie zabaczył, choć pragnąłem [gwałtem
Nosić krzyż, w niefortunną popadłszy przygodę,
Jęczał: „gdy rzeczy nadal takim pójdą kształtem,
Wyjdę z tąd na Hetmana lub na Wojewodę;
Król łaskami obsypie, obdaruje złotem,
Będę tył, rosł, kwitnął biedę mając za nic:
O! bodajmym gdzie z nędzy zdechł raczej pod [płotem,
Niżeli gubił duszę tem szczęściem bez granic!”
I rzuciwszy wojaczkę siadł znowu na glebie,
Kędy mu każdy zagon skarby plonów rodził,
I znów słyszał jak ludzie mawiali do siebie:
Imci pan Kurdwanowski w czepcu się urodził!
A tak mu już obrzydło to niezmienne szczęście,
Iż za każdym łaskawym fortuny karesem,
Głowę skłaniał, brwi marszczył i zaciskał pięście,
Mrucząc: „wszystko stracone, przepadłem z kre-[tesem!...

Przeszło jakie lat dziesięć albo więcej może
Tym trybem, gdy nareszcie raz wieczorną dobą,
Zaniemógłszy w swem zdrowiu legł na cierpień [łoże,
Nawiedzony okrutną i ciężką chorobą.
Strasznie było nań spojrzeć — pełnej dawniej [tuszy,
Zbladł, zmizerniał i wychudł w niesłychany sposób,
Lecz pośród męk największych, najcięższych [katuszy,
Zdumiewał swym spokojem grono zacnych osób.
Gdy rodzina, gdy krewni, zgromadzeni społem,
U wezgłowia chorego łez lali strumienie,
On, z uśmiechem na ustach, podniesionem czołem
Wołał: „dzięki ci Panie za to nawiedzenie!”
Niedość na tem, po roku wszystkie naraz troski
Ex abrupto mu na kark spadły kupą całą:
Dobytek z dymem poszedł, Szwed splądrował [wioski,
A starostwo ni tynfa dochodu nie dało.
„Ćwicz sługę twego Boże!” Krzyczał wielkim [głosem,
Zlej na mnie drogą cierpień zdrój Twej świętej [łaski,
Bo ja czuję, ja widzę jako z każdym ciosem,
Jaśniej mi wiecznej chwały promienieją blaski.
I tym kształtem ujrzawszy dni doczesnych [schyłek,
Wśród ostatniej godziny *zmięty* losem srogim,
Przeniósł się rad swej doli do zimnych mogiłek,
Stając jako brant czysty przed wieczności pro-[giem.

Tandem tedy, wy wszyscy którym wśród oma-[mień
Światowych, wszelka żałość pierś ciężarem gniecie,
A wszelki trosk przyczynek cięży niby kamień,
Patrzcie, jak to przed laty bywało na świecie:
Jeśli zasię kto miasto radować się z troski,
Narzeka iż w rozkoszach los mu nie wygodził,
Niech wspomni, jak to bolał wciąż pan Kurdwa-[nowski
Z tego iż bied nie znając w czepcu się urodził.

NIESZCZĘŚCIA PANNY ANNY.

OBRAZEK

przez

Waleryą Marrené.

(Dalszy ciąg).

Trudności były dwojakiego rodzaju materyalne i moralne. Najprzód potrzeba było jakiegoś choćby najmniejszego kapitału na najęcie lokalu, urządzenie sklepu, zakup pierwotnych materyałów, pierwsze miesiące utrzymania i zapłaty robotników, zanim firma dałaby się poznać i zyskała sobie uznanie. Powtóre trzeba było wynaleźć towarzyszkę któraby dodała powagi Annie i osłoniła ją od obmowy świata nie krępując działalności.

Dwie te trudności, jednak szczęśliwie rozwiązane zostały. Matka chrzestna zapisała jej ośm tysięcy złotych na wyprawę, wypłacalnych przy ślubie lub dojściu do pełnoletności. Pełnoletności zaś Anna dochodziła.

Trudność ze strony moralnej usuniętą została za pomocą panny Balbiny, dalekiej a letniej kuzynki, która po wielu prośbach i trudnościach, zgodziła się wreszcie acz z bólem serca zamieszkać z Anną i odgrywać rolę jej opiekunki, jakkolwiek w rzeczywistości biedna istota nie była w stanie opiekować się skutecznie nikim a nawet samą sobą: doszła do lat sześćdziesięciu nie straciwszy nic z młodocianych złudzeń, wiecznie wyzyskiwana oszukiwana i ułająca.

Panna Balbina zrazu oburzała się, wraz z całą rodziną, na zamiary przemysłowo handlowe młodej dziewczyny, ale że była to w gruncie najlepsza pod słońcem istota, że nie umiała oprzeć się niczyjej prośbie, a Anna prosiła ją jak o największą łaskę o to by z nią zamieszkała, a wreszcie prosiła ją o to i jej matka, uległa jak zwykle ogólnemu życzeniu i poświęciła się dla rodziny, bo już to przyznać należy że wyraz poświęcenie, miał w jej oczach nadzwyczaj wiele uroku i że lubiła opowiadać, jako całe jej życie było tylko pasmem poświęceń.

Tym sposobem Anna w prowincyonalnym mieście odległem o mil kilka od Lubowa najęły mieszkanie ze sklepem na pryncypalnej ulicy i zajęła się jego urządzeniem.

Myślała ona zrazu że skoro posiada fachowe wykształcenie i pieniądze, wszystko pójdzie jej jak z płatka, pokazało się jednak iż było to słodkie złudzenie, gdyż teraz właśnie znalazła się w obec trudności niespodziewanych a których nie wiedziała jak pokonać.

Naprzód gdy pokupowała szafy, kontuary i urządziła sklep skromnie, ale ze smakiem, fundusz jej znalazł się bardzo nadwyrężony, gdyż za te wszystkie przedmioty, zapłaciła dwa razy tyle ile by to kosztowało każdego innego, dobrze obznajmionego z warunkami miejscowemi i z warunkami każdego handlu w ogóle, którego zasadą jest tanio kupić a sprzedawać drogo.

Anna nie znała ludzi, zbyt mało miała z nimi do czynienia, nie miała praktycznych wiadomości o wartości przedmiotów, które nadaje zwykle życie w szerszym zakresie, nic więc dziwnego że niewiadomość swoją opłacić musiała.

Jednocześnie z otworzeniem sklepu, Anna zajęła się przygotowaniem towaru. Tutaj była na

swoim gruncie, tak sądziła przynajmniej, wszakże pracowała sumiennie, wszakże nauczyła się dokładnie wybranego rzemiosła a rękawiczki przez nią skrojone nie ustępowały w niczem zagranicznem.

Wiedziała gdzie robić zakupy, znała ceny i gatunek rozmaitych skórek, bo to należało do fachowego wykształcenia jakie odebrała. I wszystko zapewne byłoby poszło najlepiej, gdyby Anna ama była wstanie wystarczyć robocie, lub tak jak to ma miejsce w Warszawie, mogła znaleźć z łatwością uzdatnione pomocnice.

Miasto jednak prowincyonalne ma trudności sobie właściwe i z nimi to Anna spotkać się musiała, a trudności te stanowiły dla niej nowy i bolesny cykl doświadczeń.

W niespełna rok, po pamiętnej chwili w której znak sklepowy „Fabryka rękawiczek Anny”, pięknie wymalowany i wyzłocony, wywieszony został, Anna siedziała zakłopotana w pokoju który służył wyłącznie na jej użytek, w czasie gdy w drugim będącym pracownią słychać było gwar dwóch głosów podniesiony aż do tonu zwady, w czasie gdy inne znów wybuchały żywym śmiechem. Hałas ztąd powstały był to wielki, iż można było śmiało powątpiewać, czy przy nim robota szła sporo.

Pokój w którym znajdowała się Anna wraz z panną Balbiną położony był między pracownią a sklepem, w którym odezwał się kilka razy dzwonek zawieszony u drzwi od ulicy, a następnie dało się słyszeć charakterystyczne chrząkanie, którem dają zwykle znać o swojej obecności, osoby czekające lub niewiedzące do kogo się udać.

Anna pochylona nad wielką rachunkową księgą, widocznie tak nią była zajęta iż nie słyszała tego. Dopiero Balbina, która z robotą w ręku siedziała przy oknie, odezwała się niecierpliwie.

— Ktoś przyszedł do sklepu!

— Przecież tam jest panna Zofia!

Ponieważ jednak chrząkanie nie ustawało, wstała i poszła do sklepu. Nie było tu śladu panny Zofii, która słysząc śmiechy i sprzeczki w pracowni, przemknęła się do niej cichaczem bocznemi drzwiami, a zajęta tem co się tam działo wcale na dzwonek nie zwróciła uwagi.

Anna usłużyła kupującym, ale ponieważ sklepem zawiadywała specyalnie panna Zofia, nie mogła odrazu dogodzić ich żądaniom i przeszukawszy wiele paczek, szuflad, pudełek, musiała na końcu odwołać się do niej.

Panna Zofia majestatycznie przyjmowała przybywających, i miała zwyczaj dać im uczuwać całą swoją powagę, co niejednokrotnie odstręczało gości i niecierpliwiło Annę.

Panna Zofia jednak majestat swój zachowywała zarówno względem podwładnych alias kupujących, jak i względem zwierzchniej władzy, to jest Anny, a już pannę Balbinę uważała za coś nieskończenie niższego iż temu coś ledwie raczyła głową kiwnąć i odpowiedzieć końcem ust. I teraz więc na uwagę Anny iż musiała oderwać się od rachunków ażeby zastąpić ją w sklepie, odparła tonem obrażonej godności: iż przykutą do miejsca swojego być nie może.

Tymczasem hałas i gwar w pracowni wzmagały się, poszła więc tam Anna i rzeczywiście obecność zwierzchniczki była tu niezmiernie potrzebna. Żwawa sprzeczka tak zajmowała wszystkich, iż porzucono robotę, a grono złożone z czterech kobiet, zbiło się w jedną kupkę i rozprawiało z zupełnem zapomnieniem szacownego przysłowia, iż czas to pieniądz. Wprawdzie był to tylko pieniądz Anny.

To też ona widząc to zarumieniła się gwałtownie.

— Boże mój! zawołała, panie rozmawiają a tymczasem pilna robota leży.

Tak zainterpelowane panie, zmieszały się na chwilę, powoli zabrały zwykłe miejsca, ale czoła były nachmurzone, usta wydęte niezadowoleniem.

— Niech pani będzie spokojną, odezwała się widocznie w imieniu wszystkich panna Ludwika: robota będzie skończoną a my przecież nie możemy siedzieć na miejscu dzień cały, jak przykute.

Było to słowo w słowo to co powiedziała jej panna Zofia. Przytem panna Ludwika dodała kilka mniej przyjemnych wyrazów, o niesprawiedliwości i wymaganiach, których pracujący są zawsze ofiarami.

Powiedziawszy to zaczęła swoją robotę i z widocznym złym humorem zaczęła stębnować na maszynie rękawiczki.

Druga panna Helena z równą niechęcią, wzięła się do wykończenia kilkunastu par leżących przy niej, a dwie przybyłe w odwiedziny panienki, widząc ten obrót rzeczy wyniosły się cichaczem.

Anna powróciła do swego poprzedniego zajęcia. A było to zajęcie trudne i nużące, przeglądała swoje rachunkowe książki i rozpoznać się w nich nie była w stanie. Jak wiele kobiet z resztą Anna do arytmetyki nie miała najmniejszej zdolności, a pracą nie starała się tego braku uzdolnienia zastąpić, przeciwnie, cyfry miały dla niej zawsze coś wstrętnego a co więcej niemal pyszniła się tym wstrętem, i zwykła była mawiać pogardliwie:

— To takie nudne.

Teraz jednak ta najnudniejsza z nauk, te wstrętne cyfry wkroczyły w jej życie. Rozpoczynając swój zawód, Anna zrozumiała potrzebę ścisłej rachunkowości ale nie mogąc sobie samej poradzić zmuszoną była przyjąć buchaltera, który założył jej książki handlowe i co wieczór przychodził wpisywać obrót dnia całego.

Widocznie jednak pomoc ta nie była dostateczną, gdyż Anna długi czas z wytężeniem umysłu spoglądała na cyfry ustawione w szeregi a potem zawołała nagle.

— Nie, ja tego wszystkiego nic a nic nie rozumiem!

Panna Balbina słysząc to podniosła oczy od roboty, nad którą pracowała z pilnością mogącą służyć za wzór pannie Zofii, pannie Ludwice i pannie Helenie i odrzekła spokojnie.

— Nie rozumiesz! nic dziwnego Andziu, widzisz wzięłaś się do nie swojej rzeczy.

Źrenice Anny zapałały.

— Dlaczegóż ciocia tak mówi, zawołała! czyż szycie i krój rękawiczek, przechodzi kobiecą zdolność.

— Ja tego przecież nie powiedziałam, odparła flegmatycznie panna Balbina, są przecież kobiety, które prowadzą swoją głową daleko ważniejsze zakłady.

— A dlaczegóż ja, miałabym wziąć się do nie swojej rzeczy?

— No, dlatego, że temu podołać nie możesz.

Odpowiedź była jasna, a co ważniejsze, logiczna, Anna musiała to przyznać w duchu.

— Widzisz, mówiła dalej stara panna, ty byłaś do czego innego wychowana.

— A do czego ciociu, zapytała rozdrażniona, czy nie raczysz mi tego powiedzieć.

Balbina łagodnem usposobieniem swojem nie odczuła burzy, ukrywającej się w myśli dziewczyny.

— Do czego! powtórzyła z namysłem, prawdziwie nie zastanowiłam się nad tem nigdy, ale z pewnością nie do tego co teraz robisz. Widzisz nie słucha cię tu nikt.

— To prawda, odparła smutnie Anna, ale cóż ja na to poradzę?

Stara panna nie rozbierała powodów tego faktu, widocznie zajmowały ją więcej wyniki, niż przyczyny, które były ich następstwem.

— A co gorzej ciągnęła dalej Balbina, zamiast mieć zyski ze swojej pracy i kłopotów, dokładasz ciągle do niej pieniądze.

— To tylko tak z początku, ciociu, przerwała zmieszana dziewczyna.

— Być może, zapewne musi tak być jak mówisz, ale co będzie jak ci ich zabraknie? Przecież ojciec nie doda.

— Więc cóż ja mam robić ciociu, powiedz mi to przynajmniej.

Panna Balbina popatrzyła na nią, bardzo seryo czas jakiś, i wyrzekła ze spóźnioną naiwnością która ją charakteryzowoła.

— Pierwszy raz zapytujesz mnie o radę.

Anna właściwie nie pytała o radę, słowa jej były raczej wykrzykiem niecierpliwości. Ale Balbina nie była w stanie tego zrozumieć i mówiła dalej dobrodusznie, nie uważając na wyraz jej twarzy, na ruch rąk, które łamała bezwiednie.

— Według mego zdania, powinnabyś pójść za pana Kalasantego, słyszałam że zawsze o tobie myśli.

Anna nie odpowiedziała nic, nerwowym ruchem zacisnęła dłonie, brwi jej się zbiegły a usta przygryzione boleśnie, wyszeptały znowu wyraz wywołany zawsze wspomnieniem nienawidzonego człowieka „nigdy, nigdy”.

Słowo było też same ale nie miało ono już owego dźwięku świadczącego o przekonaniu gorącem, niezmiennem, było chwiejne i osłabłe, wymawiały je usta, jakby z pamięci tylko.

Anna usiadła na dawnem miejscu, nie próbowała przecież więcej zagłębiać się w rachunkowych książkach, myśli jej były gdzieindziej. Czuła się znękaną, roztargnioną, nie swoją.

W sklepie tymczasem ruch był nieustanny, dzwonek poruszał się co chwila, a panna Zofia nie mogąc sobie dać rady, co chwila przywoływała na pomoc pannę Ludwikę lub pannę Helenę. Anna ktora zwykle w podobnych razach pomagała jej gorliwie, dziś pogrążona w myślach nie mieszała się do niczego.

Stara panna chcąc ją rozweselić odezwała się po niejakim czasie.

— Przynajmniej twój sklep doskonale idzie.

Anna nic nie odpowiedziała, przychodziło jej do głowy że nawet poparcie ogólne nie było w stanie uratować przedsięwzięcia, któremu brakło węgielnego kamienia, bo rachunku i ładu, a tych pomimo najlepszych chęci wprowadzić u siebie nie umiała.

O tej porze jednak, brakło jej czasu do dalszego rozmyślania, bo co chwila drzwi się otwierały i zwracano się do niej z rozmaitemi interesami.

— Proszę pani, zabrakło zamszowej skórki.

— Jedwab jest zleżały, rwie się za każdym ściegiem.

— Zarzucił się pakiet rękawiczek, po odbiór których ktoś się zgłasza, oddano go widać komu innemu przez pomyłkę, panna Zofia prosi żeby pani zobaczyła w książkach.

— Jutro pierwszy, przysłano rachunek do zapłacenia, za guziczki, za jedwab' i nici.

— Panna Maryanna lub panna Józefa przyszły po pieniądze za robotę.

To ostatnie było najgorsze, bo to co dopiero przewidywała Balbina stało się już faktem, zapas

pieniężny Anny, był na schyłku i widziała że nadchodzi chwila w której istnienie sklepu było zagrożone, a przytem pożerała ją trwoga czy przynajmniej to co posiadała mogło zapłacić należność, czy passywa nie przeniosą aktywów. Te dwa nieznane dawniej wyrazy stały się zmorą dręczącą ją we dnie i w nocy.

Znaczenia zaś ich nauczyła się od pana Ernesta buchaltera, który co wieczór zapisując rezultat każdodniowy, miał je nieustannie na ustach.

A przecież sklep jej był wiecznie pełny, sprzedawała w nim więcej rękawiczek, niż we wszystkich innych, razem wziętych sklepach tego rodzaju w miasteczku.

— Pani powinna stać doskonale, powtarzał codzień pan Ernest, obrót wielki.

Pomimo tego obrotu jednak stała źle, gdyż wiecznie popełniała jakieś błędy i omyłki. Być może iż było to rzeczą nieuniknioną, skoro wzięła się do zajęcia z którego trudnościami nie była dostatecznie obeznaną, bo chociaż nauczyła się rzemiosła, nie nabyła ani kupieckiej zręczności, ani co ważniejsze znajomości świata, ludzi, ich stosunków, bez których żadne przedsięwzięcie powodzenia mieć nie może.

Anna jednak na straty spotykające ją ciągle, nie była przygotowaną i nie mogła się uspokoić z ich powodu. Czuła, że działo się tak z jej własnej winy, postanawiała postępować oględniej, a pomimo to zawsze pomyliła się w czemś, zawierzyła komuś niebacznie, kupiła zły towar na słowo, albo też miała robotnice które biorąc drogą zapłatę traciły czas daremnie.

— To nic! pocieszał ją pan Ernest dalej będzie dobrze.

Pan Ernest należał do ludzi wesołych, którzy nic do serca nie biorą, chodziło mu jednak widocznie o to by panna Anna się nie martwiła i chciał jej udzielić swojej praktycznej filozofii.

Pomału też pan Ernest, stał się jej głównym doradzcą, przywykła wierzyć jego znajomości rzeczy i zwracać się do niego przy każdej trudności.

Tego wieczoru jednak trudności tych musiało być więcej niż zwykle, bo Anna oczekiwała buhaltera niecierpliwie a skoro przyszedł i zabierał się do porządkowania podług zwyczaju, rachunków dziennych, usiadła na przeciw niego i śledziła z niepokojem szeregi cyfr, które on pewną ręką kreślił w właściwych miejscach sumował i przenosił.

Młody człowiek zauważył wyjątkowe zajęcie, i zapytał nagle przestając pisać z rubaszną wesołością nie opuszczającą go nigdy.

— Pani się tak przypatruje mojej robocie jakbyś ją pierwszy raz widziała?

— Bo interesa moje zaczynają mnie niepokoić.

— Już to interesa pani nieświetne, nieświetne, zaśmiał się pan Ernest.

Wbrew zwyczajowi swemu, ociągał się z pociechą, do której przecież Anna tak przywykła iż w oczekiwaniu ciągle patrzała na niego oczyma mimowolnie zachodzącemi łzami.

— No, to trudno, dodał wreszcie buchalter, może się to później poprawi.

— Mówisz mi to pan od początku.

— Eh! proszę pani, wybuchnął Ernest, w podobnych razach tak mówi się zawsze.

Więc była to tylko zdawkowa moneta pociechy, którą ona brała za prawdę.

— Zresztą, ciągnął dalej, pani się skarżyć nie powinna, zbyt w sklepie ciągły, poparcie publiczności wielkie, kto innyby tutaj majątek zrobił.

— A dla czegoż ja go nie zrobię, zawołała Anna.

Pan Ernest popatrzał na nią przez chwilę, wzrokiem pełnym sprytu i przebiegłości.

— Żeby zrobić majątek, wyrzekł w końcu, nie dość by handel szedł dobrze...

Zatrzymał się, jak gdyby nie wiedział jak ten frazes zakończyć, aż wreszcie ugryzł się w język i dodał:

— Zrobić majątek, z przeproszeniem, to nie pani rzecz.

— Czemuż to, zawołała zdziwiona i obrażona zarazem.

Pan Ernest nie zmieszał się tem wcale.

— Co tam w bawełnę obwijać, zawołał nagle, pani nie masz kupieckiego zmysłu, chociaż robisz wyborne rękawiczki i ludzie je kupują.

— Cóż pan nazywasz zmysłem kupieckim, powiedz mi pan, naucz!...

Zapomniała urazy i zwracała się do niego z prośbą niemal.

Pan Ernest też roześmiał się swoim grubym śmiechem i mówił:

— Ho! zmysł kupiecki! zmysł kupiecki, bywa rozmaity i stosuje się do okoliczności. Zresztą zkądżebyś pani mieć go mogła, pani tak młoda, tak... no inaczej wychowana.

— Wszystkiego nauczyć się można. Mów pan wyraźniej, pytała nie zważając na wahanie widoczne w słowach jego.

— Z przeproszeniem, pani się tego nigdy nie nauczy!

— Dlaczego?

— Bo to trzeba myśléć o sobie nie o drugich, trzeba tanio kupować a sprzedawać drogo, widziéć zawsze wady w tem co się nabywa a swój towar miéć za doskonały, a pani najczęściej robisz wprost przeciwnie.

— To byłoby nieuczciwie.

Rozśmiał się znowu.

— A co to nieuczciwego, czy to ludzie mają słowa drugich za nieomylne, każdy ma oczy na to żeby oglądał co kupuje. Zresztą każden powinien myśléć naprzód o sobie, bo jak tego nie uczyni, to wszyscy o nim zapomną i pani teraz niech o sobie myśli.

Słowa te wymówił dobitnie, podkreślając ich znaczenie.

— Co pan przez to chcesz powiedziéć? zawołała.

Szukała oczów jego, ale on wzrok miał spuszczony i zdawał się czegoś pilnie w książkach upatrywać. Nie śpieszył się też z odpowiedzią i po długiej przerwie jakby nie słyszał zapytania powtórzył jeszcze.

— Tak, tak, powinnaś pani myśléć o sobie dopóki można to uczynić.

Było w głosie jego coś co przejęło ją dreszczem.

— Ja pana nie pojmuję, zawołała, panie Erneście, na miłość Boga mów pan wyraźniej.

Milczał przez chwilę.

— Kiedy bo to, wyrzekł po chwili, nie wiem czy się pani nie obrazisz.

— Dlaczegoż bym się obrazić miała, spytała zdziwiona.

Z głosu jej można się było domyśléć że nie przypuszczała nic, nie domyślała się by w grę mogło wchodzić co innego jak obrót handlowy.

To też pan Ernest widocznie zbity z tropu, pochylił się nad książką i po chwili zaczął zupełnie odmiennym tonem.

— Pani przeglądasz czasem rachunki?

— Przeglądam, ale przyznam się nie rozumiem ich w zupełności.

— Więc pani nie wiesz o ile passywa przechodzą aktywa?

Drgnęła na te dwa nieprzyjemne wyrazy, tem bardziej że wymówione były z naciskiem.

Szczególny uśmiech zarysował się na wargach pana Ernesta, tym razem nie był to objaw wesołości, ale coś trzymającego środek pomiędzy przebiegłością a z współczuciem.

— Deficyt jest wielki, większy niż się pani spodziewasz.

— Boże mój! zawołała przerażona, czemże ja go pokryję.

Spojrzał na nią z pod oka.

— Deficytu tego nikt się nie spodziewa, można by go pokryć z łatwością umiejętnem prowadzeniem handlu, zwłaszcza...

— Dlaczegóż nie powiedziałeś mi tego nigdy dotąd? zapytała gwałtownie, nie zastanawiając się nad niedomówionemi słowami.

— Lękałem się pani zmartwić.

— A dziś, dziś się pan tego nie lękasz?

— Dziś pani sama zaczęłaś... a potem... potem coś koniecznie przedsięwziąć trzeba.

— Zamknąć mój zakład! zbankrutować! pozostać nie wypłacalną! zawołała blednąc.

I nie zdolna dodać słowa więcej pozostała w postawie pełnej rozpaczy.

— To ostateczność, pochwycił żywo, do której nie przyjdziemy przecież.

Łączył tutaj interes swój z jej interesem, ale ona nie zwróciła na to uwagi. Uważała tylko że robił jej jakąś nadzieję. Więc podniosła na niego oczy pełne trwogi i zapytań.

Pomimo tej zachęty pan Ernest wahał się z odkryciem środków ratunku.

— Widzi pani, wyrzekł z ostrożnością zupełnie u niego nową, kupcy i przemysłowcy radzą sobie w rozmaity sposób. Kiedy człowiek pracuje i ma najlepsze zamiary, on kapitału swego tracić nie może.

Niestety ona pracowała usilnie, pracowała z zaparciem siebie i miała najlepsze zamiary a przecież właśnie była w tym wypadku: nie chodziło jej przecież o własne straty, ale czyż miała drugich jeszcze na podobne straty narazić.

— Nie chodzi tu o mnie! zawołała.

— Właśnie że o panią idzie, pani stracić nie powinna. Myślałem o tem od dawna, bo przeczuwałem co tutaj będzie, wiem dobrze iż kobiety a szczególniej kobiety pani pochodzenia, do interesów się nie zdadzą.

— Dlaczego? zapytała znowu.

Ale on nie silił się wcale na tłomaczenia.

— Alboż ja wiem odparł spokojnie, wiedziałem że tak będzie i widzi pani żem się nie omylił.

Nie zastanowiła się nad tym faktem jak była powinna, pilno jej było dojść do konkluzyi, wysłuchać rady którą czuła że udzielić pragnie.

— Pani, mówił dalej pan Ernest, powinnaś koniecznie inaczej się urządzić.

Uznawała że miał słuszność w zasadzie.

— Tak, urządzić się inaczej, powtórzyła mechanicznie nie zastanawiając się, jakiem to urządzenie być mogło.

Pan Ernest pochylił się nad książką.

— Najlepiej byłoby wziąć wspólnika, wyrzekł przyciszonym głosem.

— Wspólnika, wyrzekła nie rozumiejąc myśli jego.

— Tak jest, pochwycił, wspólnika dobrze obzna-

jomionego z rachunkowością nietylko książkową ale praktyczną.

— I z kapitałem, dodała, uznając może słuszność tej rady.

— Kapitał, powtórzył pan Ernest, co kapitał znaczy, głowa to grunt! Z kapitałem bez głowy daleko się nie zajedzie, miałaś pani sama tego przykład, a głowa, ho! głowa kapitał zastąpić potrafi.

Przy tych słowach podniósł oczy i patrzał się na nią niespokojnie, ciekawie i prosząco, a wzrok jego mówił wyraźnie, taką głową ja jestem.

Propozycya sama w sobie nie miała nic ubliżającego, forma jednak w jakiej uczynioną została była tak dziwną iż zmieszała Annę. Jednakże słowom jego jakkolwiek niepochlebnym dla siebie zaprzeczyć nie mogła. Miał słuszność kapitał jej został zmarnowany, ona takiej rachunkowej głowy o jakiej on mówił nie posiadała. Taki wspólnik mógł był ją zbawić w przeszłości, dziś jednak było za późno, wszakże sam powiedział że passywa o wiele przenosiły aktywa. Czemże tę różnicę zapełnić miała? Myśl ta była dla niej najwięcej dręczącą.

Pan Ernest tymczasem wyczekiwał niecierpliwie odpowiedzi, bo z twarzy Anny zdziwionej i posępnej wyczytać jej nie mógł.

— Panno Anno, odezwał się wreszcie, powiedz pani co myślisz o takiej wspólce.

— Myślę, że mam długi które wprzód spłacić muszę nimbym o takiej wspólce pomyślała.

— To najmniejsze, zawołał, znajdzie się na to sposób, niech się pani tylko zgodzi.

Wszystko to wydawało jej się dziwnem.

— Jaki sposób? pytała.

Ale on tłomaczyć się jaśniej nie miał żadnej ochoty, i odparł wymijająco.

— To należeć będzie tylko do wspólnika.

— Nie rozumiem pana, wyrzekła, cóż to za spółka w której jedna strona przynosi tylko deficyt.

Zmieszało go trochę jej poważne spojrzenie, ale to trwało krótko.

— Panno Anno, odparł, spółki bywają rozmaitego rodzaju i powodowane różnemi interesami, pani powinnabyś to rozumieć. Nasza byłaby racyonalną chociażby oparła się tylko na zasadzie takiej wzajemności, że pani pracowałabyś, a jabym się starał by praca ta nie szła na marne.

Ofiarował się już teraz wyraźnie, ona nie zdziwiła się, była na to przygotowaną.

— I jakąż to panu korzyść przyniesie? spytała.

To tłomaczenie było trochę trudniejszem dla pana Ernesta, który daremnie przywoływał do myśli zwykłą pewność siebie.

— Pani! zawołał siląc się na patetyczność, moje chęci usłużenia pani, moje poświęcenie... a wreszcie zyski byłyby wspólne.

Uśmiechnęła się smutnie.

— Zyski, powtórzyła, zapominasz pan że wprzód niedobory pokryć potrzeba.

— Nie troszcz się pani o nie, zawołał, mam sposób, zaufaj mi tylko.

Nie miała żadnego powodu, do ślepego zaufania jakiego żądał, nie miała i nieufności. Należała do rzędu ludzi, którzy wierzą każdemu dopóki nie przekonają się iż wierzyć nie byli powinni.

A on znał ją zapewne z tej strony, bo nalegał pytając.

— Wszakże mi pani ufasz, nie prawdaż? ufasz mi.

Trzeba było innego charakteru i innej siły niż ją posiadała Anna by odpowiedzieć przecząco. Czuła jednak że słowo to miało ważne znaczenie, że stanowiło rodzaj moralnego zobowiązania którego mogła pożałować. Ale on powtarzał niezrażony jej wahaniem swoje pytanie.

— Wszakże mi pani ufasz?

— Ufam, odparła wreszcie, zmuszona naleganiem jego.

On jednak dosłyszał, czy też chciał dosłyszeć, dźwięk tylko i z rodzajem uniesienia pochwycił jej rękę i złożył na niej pocałunek.

(d. c. n.)

NOWE WYDAWNICTWA.

Dzieł Juliana Bartoszewicza wyszedł tom dziewiąty i obejmuje studya historyczne i literackie. Mieszczą się w nim nader cenne prace: Elekcya Michała Korybuta. — Księga kapturów rzeczyckich. — O kasztelanie brzeskim Matuszewiczu jako poecie. Chazarowie Połowcy. — Ksiądz Wojciech z Konojad Dembołęcki. — Starania domu rakuzkiego w XVI wieku dla pozyskania korony polskiej. — Kasztelania połoniecka Kochanowskiego. — Poselstwo księdza Jędrzeja Załuskiego do Portugalii i Hiszpanii w roku 1674 i 1675. — Podróż bezimiennego księdza francuzkiego do Polski za Jana Sobieskiego. — Konstanty Świdziński i jego wieczysta fundacya.—Hetmaństwo.—Teatyni w Warszawie.

Bogata to niezmiernie treść i obrobiona starannie z wielką pracowitością, jaka zaleca wszystkie prace nieżyjącego dziś badacza, sama przemawia za wartością całej publikacyi. Być może że na niektóre poglądy nie wszyscy się zgodzą, nikt jednak nie odmówi wartości nagromadzonych szczegółów i ustawieniu ich w jednym obrazie zajmującej całości.

Szczególniej pomieszczone w poprzednich tomach Początki Słowiańszczyzny, są nowością zupełnie dotąd nieznaną. Zwykle w dotychczasowych historyach dawnej Polski pomijano je, albo gromadzono szczegóły jako materyał nieprzystępny dla szerszego koła czytelników: Bartoszewicz pierwszy utworzył z nich historyą i dał podwaliny niewzruszone do przyszłych prawdziwych dziejów dawnej Polski, bez których albo źle pojętemi albo niezrozumiałemi być muszą. Czyta się je też z niezmiernem zajęciem co chwila zwiększającem się a poznanie ich staje się obowiązkiem obywatelskim aby patrzeć i sądzić wszystko co się działo według prawdy i sprawiedliwości.

Przegląd bibliograficzno-archeologiczny, dwutygodnik illustrowany poświecony bibliografii, archeologii, numizmatyce, heraldyce, historyi, sztukom pięknym i literaturze. Poważny tytuł nowo wydawanego pod tym tytułem pisma, niech nie odwodzi nikogo od bliższego z niem poznajomienia. Bibliografia, archeologia, numizmatyka, heraldyka, zdają się pleśnią zatrącać, ale to tylko pozornie. Pod ich szatą, przeszłość coraz jaśniej wyłania się z pomroku mgły ją okrywającej, najmniejsze wydobyte z niej szczegóły ginące w zapomnieniu, nabierają życia, właściwego znaczenia, badacza objaśniają w wielu wątpliwościach a w czytającym podnoszą miłość najdroższego dla wszystkich skarbu, dla którego najdrobniejszy nawet okruszek uratowany od zatracenia jest nieocenionej wartości. W tym duchu Przegląd pod powyższym tytułem został otworzony, cóż więc dziwnego że prasa nietylko miejscowa ale i zagraniczna przyjęła go z niemierną życzliwością. Treść pierwszego numeru dobrze przemawia za Redaktorem panem Cezarem Wilanowskim, który poświęcił się tak mozolnej a ważnej pracy. Nietylko stare dokumenta i rzadkości umie zbierać, ale i gromadzić zdolnych pracowników z których niemałem gronem wystąpił zaraz w pierwszym numerze. Mieszczą się w nim następujące prace.

O sprawie konserwatorstwa zabytków przeszłości. Krzyż złoty znajdujący się w skarbcu katedry krakowskiej na Wawelu przez ks. Ignacego Polkowskiego. — Ostrogskie i Rowieńskie wykopaliska przez Andrzeja Janowicza. — Zaginione dzieło historyczno-heraldyczne, przez Ernesta Świeżawskiego. — Wojna Chocimska Wacława Potockiego, przez J. I. Kraszewskiego. — Korespondencya z pow. Kościańskiego w ks. Poznańskiem, przez Augusta Kalka. — Rozbiory i krytyka. — *a)* Antologia polska przez G. S. — *b)* Felicyana przekład pieśni Petrarki przez St. Grudzińskiego. — *c)* Doktór Kazimierz Szulc. — *d)* Mityczna historya Polska i mitologia słowiańska przez K. Martynowskiego. — Nowe książki. — Kronika; wreszcie ogłoszenia księgarsko-antykwarskie.

Wydawnictwa E. Orzeszkowej i S-ki. Poradnik dla osób wybierających książki dla dzieci i młodzieży, ułożył Jan Karłowicz. Jest to poprostu nic więcej tylko katalog książek i książeczek w różnych drukowanych latach z rozrzuconemi tu i owdzie urywkowemi zdaniami ale niczem nieusprawiedliwionemi. Gdyby przynajmniej były owocem bezstronności, mniejby nas dziwiły, ale układający, boć go autorem trudno nazwać, nie wziął jej za godło swojej pracy. Możnaby na to liczne przytoczyć dowody, ale dość jednego aby zarzut ten usprawiedliwić. Wyliczając pisma peryodyczne dla dzieci wydawane, powiada, że *Świat* dwutygodnik dla młodzieży i dzieci jest bardzo starannie, sumiennie i umiejętnie redagowany.

Fałsz najzupełniejszy!

Pismo to od najpierwszej chwili swego wychodzenia nie miało żadnej wartości. Wszystko w niem obrachowane było na pozór, jak to mówią, na zamydlenie oczów. Dawano niby popularne wykłady naukowe tłomaczone z niemieckiego, i przystrajano je rysunkami, ale tłomacz nieznający zupełnie języka, z wykładów tych robił tak niezrozumiałe i zdumiewające partactwa, że ani on siebie ani nikt jego zrozumieć nie był w stanie. Dawano także jakieś zadania, wzory, sztuczki z objaśnieniami a raczej z zaciemnianiami, z których w głowie kotłowało jak w młynie, a wycisnąć cóś jasnego nic się nie dało. Powieści i powiastki były równie nieudarnego wyboru, jakieś duchy, czary, cudowności albo niezręczne moralizowanie bez najmniejszego talentu.

Gdzież tu więc owa staranność, sumienność i umiejętność redagowania, sławiona przez pana Karłowicza? Publiczność nie dała się p. A. Wiślickiemu, osławionej pamięci wydawcy popularnej biblioteczki a wydawcy *Światu* w pole wyprowadzić. Osądziła go też jak zasłużył, *Świat* nie wiadomo nawet czy jeszcze wychodzi, a jeżeli wychodzi to nie podniesie się prędzej aż przystąpi do niego nie spekulant ale uczciwy pracownik stojący na wysokości swego zadania. Takim p. Wiślicki nigdy nie był i już nigdy nie zostanie, a jednak p. Karłowicz nie wahał się takiej partaniny opuszczonej przez czytelników nazwać publikacyą sumiennie, starannie i umiejętnie redagowaną.

Na zdanie o Wieczorach Rodzinnych chwalone za staranność i umiejętność w prowadzeniu ich, zgadzamy się najzupełniej. Jest to pismo rzeczy-

wiście zasługujące na poparcie, gdyż smutno pomyśléć aby społeczność nasza zaledwie zdobyć się mogła na utrzymywanie jednego tylko dla dzieci pisma jakiem jest *Przyjaciel dzieci*. Młódź czytająca równie jest liczną jak osoby dorosłe, jeżeli więc dla starszych pism peryodycznych kilkadziesiąt nie jest nadto, dlaczegóżby dla młodego pokolenia przynajmniej trzy nie miały wychodzić? To oddanie sprawiedliwości niejako współzawodnikowi *Przyjaciela dzieci*, powinno nas zasłonić od podejrzenia, iż w sprawie własnej wystąpiliśmy tak przeciw Światowi jak i Katalogowi p. Karłowicza. W jakim jednak celu i dlaczego katalog ten został wydany, zupełnie pojąć nie możemy.

Siódmy poszyt tego samego wydawnictwa pani E. Orzeszkowej i S-ka, obejmuje studyum literackie p. t. Władysław Syrokomla przez W. Z. Kościałkowską. Nie jest to właściwie studyum, ale szkic, jak sama Autorka powiada, z zamiarem ujęcia etycznej treści, gawęd i rymów ulotnych aby ułatwić czytelnkowi wniknięcie w ducha poety. Z pracy tej wywiązała się bardzo pięknie szkoda tylko że szkicu tego nie rozszerzyła do rozmiarów właściwych.

Dwa Bogi, dwie drogi — powieść współczesna przez J. I. Kraszewskiego, wydana w Mińsku nakładem Zofii Sawickiej. Autor słusznie ją nazwał współczesna, bo jakkolwiek i dawniej i zawsze byli i będą ludzie dla karyery, dla bytu i zbytku, poświęcający wszystko jakby zaprzedający się dyabłu z duszą i ciałem, jednak były to wyjątki, cichaczem, w tajemnicy, pozujące na ludzi pełnych poświęcenia i zasad jak najidealniejszych. Dziś podobnych samolubów liczba wzrosła tak wielka, że już wywiesili chorągiew swoich zwierzęcych przekonań i w imię ich śmiało krocząc szydzą ze wszystkiego co tylko na ruble obliczyć się nie da. Takiego to w powieści przedstawia autor, prowadząc go w świecie od sal uniwersyteckich. Że dopełnił tego dobrze z właściwym mu talentem, łatwo się domyśléć.

Muzeum dwutygodnik polski wyszedł w Krakowie pod redakcyą D-ra Tadeusza Rutowskiego z licznym bardzo zastępem współpracowników do siedemdziesięciu osób obejmującym. Pierwszy zeszyt wydany 1 Stycznia b. r. bardzo pochlebnie przemawia za kierunkiem tej nowej publikacyi. Mieszczą się w nim następujące artykuły.

1. Ekonomiczny stan Galicyi w r. 1880 przez Teofila Meranowicza. — 2. Pigmalion przez Ele...go. 3. Józwa Szymczak p. Waleryą Marrené.—4. Górnictwo naftowe w Galicyi przez Dr. Władysława Szajnochę. — 5. Pierwotne dzieje Polski przez Kazimierza Jarochowskiego. — 6. Krytyka i sprawozdania. Pisma K. M. P. Pogodina iz słowiańskich zemel (1835—1861) przez L. L. — 7. Kronika literacka (Piotr Chmielewski). Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego p. Juliusza Miesz. — 8. Zapiski naukowe i literackie.

Muzeum wychodzi dwa razy na miesiąc a prenumerata w Warszawie wynosi rocznie rs. 10, kwartalnie rs. 2 kop. 50, z przesyłką pocztową rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6.

Powieści, szkice obyczajowe tomów trzy przez Ludwika Niemojowskiego, nakład Józefa Ungra.

Mozajka — gawędy szlacheckie z lat ubiegłych tomów dwa napisał Berlica Sas nakładem księgarni Gubrynowicza i Schidta we Lwowie.

Encyklopedyi wychowawczej zeszyt 5 i 6.

O wydawnictwach tych później złożymy obszerniejsze sprawozdanie.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

+ Z Kochańską, pisze Kuryer War., mieliśmy mały rachunek, o... połowę nazwiska, które jak się obecnie pokazuje, zgubił jej impressaryo pomimo protestacyi artystki. Kochańska przedstawia się w Petersburgu jako Kochańska i tem nazwiskiem wywołuje ją niezliczone razy rozentuziomowana publiczność. Dowiadujemy się także, iż śpiewaczka nasza ma wziąć udział w koncercie pod protekcyą J. C. W. W. K. Katarzyny i między innemi zanuci pieśń polską i ma równie śpiewać po polsku aryą w Cyruliku.

Najzabawniejsza jednak jest w całej tej kwestyi dotyczącej Kochańskiej, wrzawa jaką narobiła swem pojawieniem się. Telegramy biegały po całym świecie, krzyżowały się, ścierały, oto w głównej treści ich przebieg.

Pomocnik Impressarya donosi mu o ogromnem powodzeniu śpiewaczki Sembrich w Warszawie i zapytuje, czyby nie należało jej do Petersburga zaangażować? Nie wie jednak co to za jedna.

Impressaryo równie ciemny jak tabaka w rogu, łączy nazwisko śpiewaczki z Siemiradzkim i donosi, że obecnie z Wiktorem Tissotem podróżuje po Galicyi.

Pomocnik odpowiada że Sembrich nie jest malarzem ale śpiewaczką robiącą w Dreznie furore. Impresaryo przyznaje się że o niczem obecnie nie wie, Pomocnik donosi że się omylił gdyż Sembrich nie w Dreznie robi furore ale w Ameryce i że nazywa się nie Sembrich ale Modieska.

Pędzi więc telegram do Ameryki do Modrzejewskiej z ofiarą miejsca na primadonnę soprano assoluto. Omyłka wydaje się a jednocześnie Pomocnik zawiadamia że poszukiwana śpiewaczka nazywa się Kochanowski.

Zapytany o szczegóły ajent w Wiedniu, odpowiada że jest skrzypek Kochanowski a drugi jest posłem do rady państwa i marszałkiem Bukowiny, ale śpiewaczki Kochanowskiej nie ma żadnej. Radzi jednak o pewniejsze szczegóły udać się do Warszawy, w której był kiedyś jakiś Kochanowski podobno literat. Pan G. z Warszawy rzecz całą wyjaśnia, znajdują wreszcie w Londynie p. Kochańską, umowę zawierają a postanawiają zwać artystkę Sembrich, albo ogłaszać ją pod wszystkiemi nazwiskami Marcella Sembrich-Stengel-Basio-Kochańska, lub wreszcie tytułować ją krótko: *diva*.

Reklama wcale zręcznie ułożona i zabawnie dosyć. Na to podobno ludziom konceptu nigdy nie braknie.

+ Samogłoski i współgłoski. Taki jest tytuł artykułu wstępnego w N-rze. 266 „Biesiady Literackiej" w którym autor jego ukrywający się pod podpisem „Przemysłowiec" bardzo dowcipnie zastosował nazwę samogłosek do stanów uprzywilejowanych, wyróżniających się w społeczeństwie bądź urodzeniem, bądź majątkiem lub intelligencyą — współgłoski zaś, to tłum, to cała massa narodu. Ale w alfabecie, samogłoski i współgłoski to brzmienia nigdy nie tracące swego charakteru, kiedy przeciwnie przy sprzyjających okolicznościach, tłum przerodzić się może w samogłoski, jak te znowu mogą być strącone ze swego stanowiska i stać się zależne od tłumu. Nadto ta jeszcze zachodzi różnica między samogłoskami w alfabecie a w społeczeństwie, że tamte wszystkie są sobie równe i zawsze takiemi pozostać muszą, kiedy przeciwnie społeczne podlegają stopniowaniu; i tak przypadkowi kapitaliści nie mają tego znaczenia i wpływu co arystokracya rodowa, a ta znów ustąpić musi pierwszeństwa intelligencyi. Człowiek jednak, jako obdarzony rozumem i wolą, może przełamać wszelkie ścieśniające go ograniczenia, i posiąść charakter samogłoski czy współgłoski.

W powyższym artykule; autor zajmuje się wyłącznie jedną tylko z samogłosek społecznych — arystokracyą — zapytując zarazem czy bierze ona udział w pracy naszej na drodze przemysłu i postępu, w takiej mierze jak samogłoski i współgłoski alfabetyczne w czytaniu i mówieniu. Nie zaprzeczając istnienia i znaczenia u nas arystokracyi, nie waha się oznajmić śmiało, że dziś to znaczenie jej ma jedynie charakter *szyldu i reklamy*. „Spojrzmy mówi, na nasz przemysł i policzmy ilu tam z arystokracyi włożyło swą pracę, na spółki handlowe i zapytajmy jaką rolę odgrywa w nich arystokracya — a przekonamy się że prawie zawsze i wszędzie jest tylko szyldem i reklamą, lub wreszcie rentierem podpisującym i odczytującym głośno to tylko co inni napisali, przekonamy się o jej zależności od kapitalistów.

„Dzisiejsza arystokracya nasza żadnych prawie nie położyła zasług dla przemysłu krajowego i dla oświaty, stała się jakby chorągiewką zwijaną i rozwijaną ręką finansistów, lub też trwoniąc za granicą czas, pieniądze i siły, schodzi powoli do roli mało używanych spółgłosek. Zależność taka może jest i wygodną, ale zarazem nader upokarzającą, kiedy przeciwnie rola dorobkiewiczów *zawdzięczających mienie swe uczciwej pracy*, jest dla tychże zaszczytną, jak każda rola urodzajna wywalczona samodzielnością.

„Czy okadzana trybularzami finansistów umiejących nader zręcznie chloroformować najlepsze instynka, arystokracya nasza nie widzi i nie czuje poniżenia swojego? Być może — ale jeźli nawet widzi to otrząsnąć się z niego nie probuje — bo nie umie. Oprócz pewnych jednostek arystokratycznego świata, co nie poprzestając na świetności rodu płaszczą się dla otrzymania nowego zaszczytu, oprócz jednostek co dla dobrego bytu szukają kupca na swe historyczne nazwisko — w ogóle nie można arystokracyi naszej zwać kastą odstępców. Odrzuciwszy na wiatr jako plewy, służalcze i próżniacze natury, o większej części arystokracyi naszej powiedzieć można że chciałaby pływać — ale nie umie. Wykształcenie jej jest mniej niż mierne; oprócz form światowych i wspomnień rodowych nie umie ona gruntownie nic coby dozwalało myśléć o samodzielnej pracy — i właśnie ten brak nauki, braw prawdziwej oświaty, jest głównym powodem zależności arystokracyi od woli finansistów. Na poparcie tego moglibyśmy przytoczyć nazwiska arystokratów, którzy z pomocą nauki i pracy zajęli stanowiska przemysłowców, rolników, specyalistów, i ci słynąc jako najczcigodniejsi obywatele, jako protektorowie przemysłu krajowego, trzymają się z daleka od klamek wyzyskujących finansistów..."

Autor nie lekceważy arystokracyi jako dźwigni, owszem uznaje że mogłaby stać się nader pożyteczną, gdyby nie brak odpowiedniej nauki, i pragnie zmusić ją środkami honorowemi, do zajęcia na nowo miejsca samogłoski, do ścisłej łączności ze spółgłoskami na drodze postępu i pracy, gdyż od tego zależy pomyślmy rozwój społeczeństwa.

Tak, powtórzymy za nim, nauki i pracy około dobra kraju, bo te jedynie dają prawo przodowania w społeczeństwie, i one jedynie mogą zapewnić arystokracyi prawo bytu i uznania, prawo zajmo-

wania miejsca samogłosek i nie utracenia ich prawdziwego brzmienia.

+ W Budziszynie istnieje towarzystwo pomocy dla uczących się Serbów (Łużyczan) mające na celu wspieranie młodzieży szkolnej tego szczepu słowiańskiego, który od wieków zalewany powodzią germanizmu, stara się mimo to utrzymać i rozwijać swoją narodowość, pomimo najtrudniejszych warunków bytu jakim podlegać musi. Wspomnione towarzystwo przysłało niedawno Redakcyi „Gazety toruńskiej” ustawę swoją i program działalności. Zarys historyczny umieszczony na wstępie podaje że ogólna liczba ludności serbsko-łużyckiej wynosi 160,000, i że epoka odrodzenia się tego szczepu zaczyna się od r. 1842, w którym ukazało się wydawnictwo łużyckie „Nowiny”. Zarys ten z wdzięcznością wspomina o Kraszewskim, nadmieniając że czcigodny nasz pisarz z powodu swego jubileuszu ofiarował „Macierzy Serbskiej” fundusz na utworzenie stydendyum dla jednego ucznia gimnazyalnego rodem Serba, oraz o p. Parczewskim adwokacie, którego nazywa wiernym „przyjacielem Serbów”. Towarzystwo pomocy przy „Macierzy Serbskiej” zostało zatwierdzone 16 lipca 1880 r. i rozwija się nader szybko dzięki czynnemu i serdecznemu poparciu wszystkich Łużyczan, jakoteż innych ludów słowiańskich.

+ W ostatnich dniach pojawiła się w księgarniach książka napisana przez Stanisława Smolkę p. t. „Mieszko Stary i wiek jego” (uwieńczona nagrodą Towarzystwa histor. liter. w Paryżu) która wielkie w świecie naukowym zrobiła wrażenie, albowiem praca ta oparta na nieznanych dotąd źródłach, zupełnie nowe rzuca światło na społeczne i cywilizacyjne stosunki początkowej Polski. Jedna z poruszonych tamże kwestyj, mianowicie stanowiska i praw włościan w owczesnem społeczeństwie, dała powód do pracy którą profesor Bobrzyński wniósł na wydziale filozoficznym w Akademii Umiejętności.

+ Piszą z Londynu. W gabinecie należącym do pani Tussand, znajduje się gilotyna, jak twierdzi właścicielka, ta właśnie na której stracony został Ludwik XVI Jest ona ustawiona tak jak gdyby natychmiast miała funkcyonować. Jest tu deska na której kładą skazanego, topór spadający za naciśnieniem sprężyny, nawet kosz napełniony otrębami w który stacza się głowa gilotynowanego. Podczas gdy obecni zwiedzali inne pokoje, przyszła myśl pewnemu paryżaninowi odegrać na chwilę rolę skazanego, aby mógł powróciwszy do Paryża pochwalić się że próbował gilotyny Ludwika XVI, że włożył głowę w ten sam otwór z którego spadła głowa wnuka św. Ludwika, ale szczęśliwszy od niego umiał ją wycofać i zatrzymać na karku. Położył się tedy na desce, podniósł górną część okrągłego otworu, włożył weń głowę, spuścił potem ową część górną która w takim razie zahacza się o sprężynę i już podnieść się leżący na desce w żaden sposób nie może. Gdy tak poleżał ze sześć minut, w pozycyi w której nie widział nic prócz otrąb w koszu, uczuł się znużonym i znudzonym zarazem; chciał więc sięgnąć ręką do sprężyny, lecz nagle zimny pot wystąpił na niego z przerażenia, gdyż przyszło mu na myśl iż gdy jej dotknie może zamiast uniesienia się przyrządu przytrzymującego, spadnie topór i utnie mu głowę. Zaczął więc coraz rozpaczliwszym głosem przyzywać pomocy — niestety! w odpowiedzi na jego wołanie głośne śmiechy rozległy się po sali, gdyż publiczność angielska sądząc że to niespodzianka urządzona przez panią Tussand, śmiała się bijąc głośne oklaski krzyczącemu, który, tak doskonale odgrywał wyuczoną rolę. Nareszcie krzyk osłabł i ustał nagle, drgające ciało leżało taraz nieruchomie, te zwróciło uwagę: ciekawego wrażeń szaleńca uwolniono z duszącej obręczy i jak martwego zdjęto z gilotyny, i długi czas upłynął zanim przyzwany lekarz zdołał przywrócić mu przytomność.

+ W Afryce południowej znajduje się miasto Kimberley, wzniesione wśród kopalni dyamentów. Liczy 16,000 mieszkańców i prowadzi handel przenoszący rocznie 2,000,000 funt. szter. Kilkanaście lat temu w miejscowości tej nie było ani jednego domu, wzniosło się więc nader szybko, ale kto wie czy prędzej jeszcze nie zostanie zburzone przez poszukiwaczy drogich kamieni, gdyż zrobiono odkrycie że grunt na którym miasto jest zbudowane w zawiera sobie obfite pokłady dyamentów. W takim razie też sama okoliczność, której Kimberley nagły wzrost swój zawdzięcza, stałaby się przyczyną jego ruiny.

+ Niejaki pan Bogaerts holender wynalazł sposób za którego pomocą można tak dokładnie skopiować każdy obraz malowany na płótnie czy na drzewie, iż niepodobna odróżnić kopii od oryginału. Podobno kilku malarzy francuzkich powierzyło mu swoje obrazy do reprodukcyi i następnie nie mogli poznać oryginału. Figaro podaje że wkrótce wystawiony zostanie w Paryżu szereg malowideł reprodokowanych za pomocą wynalazku p. Bogaerts'a.

Jakżeby to obniżyło wartość bogatych galeryj!

+ Od 1 sierpnia r. b. rozpocznie się w Paryżu międzynarodowa wystawa „elektryczności” i otwarta będzie w dzień i w nocy. Oświetlenie ma także być elektryczne; użyte mają być do tego wszelkie znane systemy, mianowicie: Siemens'a, Serrin'a, Lontin'a, Meritens'a, Jabłoczkow'a, Brusch'a, a może nawet i lampa Edison'a. Więcej niż 600 ognisk światła opromieni swym blaskiem sale Wystawy. Na pierwszem piętrze „Pałacu Przemysłu” w sali głównej, umieszczone będą przyrządy mające dowodzić praktyczności oświetlenia elektrycznego w mieszkaniach; dalej celem Wystawy jest dać poznać korzyści zastosowania oświetlenia elektrycznego do teatrów, muzeów, zakładów naukowych i t. p.

+ Powtarza się pogłoska iż pewien inżynier wynalazł sposób wyrabiania mechanicznie koronek, niczem się nie różniących od wyrabianych ręcznie. Oddawna już inżynierowie i mechanicy łamali sobie nad tem głowy, jako nad wynalazkiem olbrzymie zapewniającym zyski. Wiadomo jak szalone ceny fabryki nakładają dziś na koronki, pomimo że robotnice, często bardzo przy tej pracy wzrok tracące, bardzo licho są płatne. Wyrabianiem koronek zajmuje się w Europie 500,000 kobiet; najlepsze pracownice nie zarabiają więcej jak 10 do 15 centymów za godzinę roboty, a często całodzienna płaca nie przechodzi 10 do 15 centymów. Jest to powodem że coraz zmniejsza się liczba koronczarek: a jednocześnie wzmaga się nieustannie zapotrzebowanie koronek. Jak donoszą warsztat koronczarski może zastąpić robotę kilkuset pracownic, kosztuje wprawdzie 60,000 fr. ale dać może 44,000 fr. dochodu. Podobno jakiś dom amerykański ofiaruje wynalazcy pięć milionów fr. za wyłączny patent na Stany Zjednoczone, i takąż samą summę pewien bankier angielski za patent na królestwa Wielkiej Brytanii. Szczęśliwy wynalazca może powiedzieć sobie że praca jego sowicie mu się opłaca.

+ Już to w naszym wieku, inżynierowie i mechanicy istnych dokonywają cudów — oto jaki olbrzymi pomysł miał znowu powstać w umysłach inżynierów amerykańskich — ni mniej ni więcej tylko zamiar zbudowania kolei żelaznej między Europa a Ameryką... przez głębie Atlantyku. Odrzucając jako już zbyt pospolity sposób, wiercenie tunelu, który wymagałby tu zresztą zbyt długiej i mozolnej pracy, projektują zapuszczenie na dno Oceanu olbrzymiej rury 5,500 kilometrów długiej, a 8 metrów szerokiej; w takiej rurze z łatwością mogłyby się minąć dwa pociągi. Ze względu na ciśnienie wody, równające się 100 do 120 atmosferom, ściany cylindra musiałyby mieć 50 centymetrów grubości; rura zaś składałaby się z pierścieni, każdy po 50 centymetrów długości.

W projekcie przynajmniej, zapuszczenie rury w morze, nie wydaje się zbyt trudnem inżynierom amerykańskim, a śmiałego tego przedsięwzięcia dopełnić ma założenie szyn, urządzenie telegrafów, wentylacyi i oświetlenia elektrycznego. Edison znowu projektuje do tej kolei budowę lokomotyw poruszanych siłą elektryczną, której prądu dostarczyć mają same owe olbrzymie żelazne ściany tunelu. Gdyby kolej taka była zbudowaną, możnaby w przeciągu 50 godzin przebyć całą przestrzeń dzielącą Amerykę od Europy. Koszt budowy tej drogi wyniósłby kolosalną summę 800 milionów — ale jakie też olbrzymie przynosiłaby dochody. Jest to jednak pomysł prawdziwie amerykański, przechodzący wszystko co dotąd nawet bujna fantazya arabska wymyśliła.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubranie domowe z gładkiem vêtement. Spódnica zakończona wąziutkiem plisowaniem na które spada szeroka falbana. Vêtement zapinane z tyłu naszywane złotą taśmą z boku podpięte klamrą metalową z łańcuszkiem, na którym zawieszony woreczek Pompadour. Na rękawach przy ramionach dane naszycie i bufy przepięte klamrami.

Ubranie domowe z przemarszczonem vêtement. Suknia kaszmirowa zdobna falbankami w górze przemarszczonemi w bufki kilkakrotnie, u dołu objętemi szeroko atłasem. Vêtement ma przód i plecy przemarszczone podług ryciny; rękawy zdobne przemarszczeniem w całej długości; kołnierz przemarszczony atłasowy spięty sutą kokardą. (454)

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 3 Февраля 1881 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

TAK BLIZKO SZCZĘŚCIA.

(przekład z francuzkiego)

przez J. B.

(Dalszy ciąg).

Goście spojrzeli po sobie, — widać nie podzielali zdania gospodarza. Helena z zajęciem obierała srebrnym nożykiem zamrożony orzech; Stefania zręcznie na inny przedmiot zwróciła rozmowę — ale nienawistne to nazwisko obiło się o jej uszy jakby odgłos dalekiego grzmotu. Piorun niedługo też miał uderzyć.

Pewnego wieczora, Stefania nie uprzedzona o tem, zobaczyła męża wchodzącego z księciem de Sauves; na ten widok krew uderzyła jej do głowy. Pan d'Éricey przyprowadził go do żony, i rzekł nie patrząc na nią:

— Mój najlepszy, najserdeczniejszy przyjaciel... wrócił dopiero... chciałem przyprowadzić ci go natychmiast... będzie częstym naszym gościem... wszak tak przyjacielu? szczęśliwy jestem przyjmując cię u siebie.

Pani d'Éricey zimnem skinieniem głowy odpowiedziała na ukłon nowego gościa, który przecież postąpił z większym taktem niż gospodarz domu, gdyż ukłoniwszy się raz jeszcze, wziął pod rękę Feliksa, i aby uwolnić Stefanię od ich obecności, przeszedł z nim do salonu w którym grano w karty.

— O! mój Boże! pomyślała z przerażeniem Stefania, Jerzy i Helena przybędą lada chwila!

Jakoż przyszli i Helena usiadła na zwykle zajmonem przez nią miejscu; niebawem otoczyło ją grono jej wielbicieli, rozmawiała z większem niż kiedykolwiek ożywieniem, jednakże zdawało się Stefanii że wesołość jej i śmiech były jakby nienaturalne — jednakże postępowaniu jej nic zarzucić nie można było. Książę nie opuszczał salonu gry; około wpół do jedenastej Jerzy z żoną odjechał, gdyż mieli być na jakimś balu na który i Stefania miała się udać nieco później. Goście rozjechali się wkrótce.

Zostawszy sama, pani d'Éricey stanęła przed ogniem płonącym na kominku, gdy nagle w lustrze zobaczyła księcia de Sauves. Odwróciła się; twarz jej wyrażała odrazę i znudzenie.

— Nie będę długo naprzykrzać się pani, rzekł poważnie; racz mi tylko pozwolić powiedzieć słów kilka, gdyż inaczej nie śmiałbym się tu pokazać. Wiem jak wiele zawdzięczam bezgranicznej dobroci pani... tem więcej że nie o mnie tylko chodziło. Szlachetność pani nie dozwoliła jej potępiać nas na mocy pozoru. Było to ostatnie pożegnanie z uczuciem czystem jak łza, z niedościgłem marzeniem, dość dawno już rozwianem. Raz zamarłe odrodzić się nie może — pragnąłem zapewnić panią o tem, zanim ośmielę się korzystać z nalegania przyjaciela mego Feliksa.

Stefania słuchała mowy jego ze spuszczonemi oczami; podniosła je nagle i utkwiła w niego głębokie spojrzenie, tchnące taką szlachetnością i prawością, iż mimo swej czelności, uczuł że krew uderzyła mu do twarzy.

— Nie powinnam powątpiewać o szczerości słów pana, odpowiedziała, i pragnę wierzyć w tłomaczenie którego nie żądałam. Przyjaciele pana d'Éricey mają prawo bywać w jego domu, i...

— I zalecasz mu aby jak najczęściej nas odwiedzał! przerwał Feliks wchodząc do pokoju. Kochany, nieoceniony przyjaciel!... Kiedy ma przyjść do nas na obiad?

— Kiedy ci się podoba, odrzekła zimno; idę się ubierać.

I lekko skinąwszy głową, przeszła lekko przez salon.

— Nie łatwa z nią sprawa, co?... a jednak dobra to kobieta, rzekł Feliks, tylko...

— Nie kłopocz się, rzekł śmiejąc się książę; jest trochę przeciw mnie uprzedzona, ale udobruchamy ją powoli.

— No, więc we czwartek przyjdziesz do nas na obiad... a co do tego interesu, jutro u twego notaryusza. Ten szatan Saltarella nie chce na mnie patrzeć dopóką nie dotrzymam przyrzeczenia... a jak na złość brak mi teraz pieniędzy... Gdyby nie twoja uczynność, nie wiedziałbym jak sobie radzić... Oddam ci niezadługo — sprzedałem wioskę... tylko dziś zaraz nie odebrałem należności... a ten szatan Saltarella... wczoraj rano taką piekielną wyprawiła mi scenę. Przyszedłszy znów do niej wieczorem, zastałem tam jakiegoś jegomościa—powiada że to jej mleczny brat.

— Ha! ha! ha! wyborna sobie, zawołał książę śmiejąc się; ale bądź spokojny, jutro będziesz miał pieniądzę. Do widzenia!

Wysunął się prędko, dostrzegłszy zdala białą suknię pani d'Éricey.

— Kochany, dobry, nieoceniony przyjaciel! jakiemu nie ma równego, rzekł Feliks do żony.

— Przyjaciel bardzo niebezpieczny, jak utrzymują ogólnie, odpowiedziała Stefania; nie ma dobrej opinii...

— Pal djabli wasze opinje! zawołał unosząc się Feliks; czy aby jeden z tych naszych panów słynących z dobrej opinii, postąpiłby ze mną tak szlachetnie jak on!... bardzo też mnie obchodzi co gadają... będzie tu bywał tak często jak zechce, i proszę przyjmuj go jak najlepiej!

— Nie unoś się, odpowiedziała spokojnie; przyjmować go będę równie grzecznie jak każdego kogo zapraszasz, dopókąd nie da mi powodu do zmiany postępowania.

W tej chwili wszedł służący z oznajmieniem że powóz zajechał. Stefania wsiadła do niego westchnąwszy ciężko, i za kilka minut dojechała do pałacu ambasady w którym bal wydawano.

Tam to przed dwoma laty spotkała Jerzego po jego powrocie z zagranicy, tam pierwszy raz zobaczyła Helenę. Zdawało jej się że odczuwa to samo wrażenie jakiego doznała wówczas, odgadując jakie węzły łączą jej towarzysza lat młodocianych z tą piękną panną. Cała zatopiona w tych wspomnieniach, słuchała obojętnie zdawkowych grzeczności salonowych, a to wewnętrzne wzruszenie dodawało jej jakiegoś tajemniczego uroku. Stała wsparta o filar tuż przy ponsowej firance, która uwydatniała białość jej delikatnej twarzyczki, i utoczoną wysmukłą kibić.

Pan de Vérain rozmawiający z Jerzym, rzekł do niego lekko wskazując Stefanię:

— Spojrz na tę uroczą kobietę, tak pełną niewysłowionego powabu, nie jestże to zbrodnią aby taka śliczna istota dostała się temu niedołędze d'Éricey'owi!...

Jerzy nic nie odpowiedział; taż sama myśl kamieniem ciężyła mu na sercu, ale wyjawić jej nie śmiał. Po chwili zbliżył się do Stefanii.

— Co tobie, przyjacielu? zapytała spoglądając na niego; tak jesteś blady.

— Nic, kochana Stefanio; owszem w domu wszystko dobrze. Helena stała się rozsądniejszą; mówi że doskonale bawi się u ciebie, i oznajmiła mi że z chęcią wyrzecze się niektórych zabaw i balów i u ciebie spędzać będzie wieczory. Bardzo to pożądane dla mnie: mam nader wiele roboty, będę więc mógł w te dnie się nią zająć.

Pani d'Éricey zadrżała i o mało nie powiedziała mu: „Ale czy wiesz że zastanie u mnie księcia d Sauves?“ powstrzymała się jednak, nie chcąc bud w nim podejrzeń. Jerzy sam wyprowadził ją z kłopotu.

— Więc Feliks przyprowadził ci księcia de Sauves? rzekł nie zauważywszy jej pomięszania. Vérain utrzymuje że książę się ustatkował; i że on to nakłonił męża twego aby więcej przebywał w domu. Nie zrażaj go, będzie mógł może dobry wpływ wywierać na Feliksa.

Stefania smutnie wstrząsnęła głową.

— Nie ufam owocom wydawanym przez złe drzewa, odpowiedziała. Jednak poddaję się pewnym koniecznościom w nadziei uniknienia czegoś złego... Ale gdzież Helena?

Przeszli do sali w której tańczono. Helena należała do kadrilla; zdawało się Stefanii że w pośród tuż za nią stojących mężczyzn dostrzegła księcia de Sauves; nie było go jednak gdy doszli do Heleny — albo więc prędko się oddalił, albo zdawało jej się tylko. Po skończeniu kadrylla, pani de Fleynac zbliżyła się do Stefanii, i razem chciały wejść dosali bufetowej, ale że tłok tam był niesłychany, więc Jerzy wprowadził je do małego przyległego pokoiku, i obiecał przynieść tam lody. Spostrzeżono wkrótce że obie panie schroniły się w te samotne i chłodne ustronie, i wkrótce otoczyło ich kółko znajomych. Jerzy wrócił za chwilę w towarzystwie księcia de Sauves, obydwaj przynosili chłodniki; książę podał swoje Stefanii.

— Panu de Fleynac trudno było przecisnąć się przez tłum niosąc lody w obu rękach, zatem ofiarowałem mu moje usługi, rzekł książę de Sauves siadając przy pani d'Éricey.

Helenie ukłonił się tylko, ona odkłoniła się najobojętniej, przynajmniej na pozór. Jerzy pozostał i wziął udział w rozmowie. Mniemając że może łatwo wydarzyć się okoliczność, iż książę jako przyjaciel pana d'Éricey mógł być użytecznym Stefanii, choć zawsze czuł wstręt do niego, zapanował nad sobą i niczem tego nie okazywał.

Zupełnie obojętnem zachowaniem swojem, Helena zachwiała przekonanie pani d'Éricey. A może książę powiedział mi prawdę, pomyślała, może za surowo osądziłam prostą lekkomyślność... I gorąco pragnęła wierzyć temu. Pod wpływem tej pocieszającej myśli, nie zbywała księcia de Sauves urywkowemi odpowiedziami; widząc że słucha co mówi, książę rozwinął cały zasób swego bystrego umysłu i dowcipu, rozmowa była zajmująca i ożywiona, i Helena pierwsza odezwała się że czas już wracać do domu. Zdawało się że jest w złym humorze.

— Późno już, rzekła, a bal dzisiejszy nieznośnie nudny.

Stefania wstała zawiadomić jedną z pań którą miała odwieźć do domu; Helena i książę chwilę pierwej zeszli do przedsionka.

— Oto powóz pani d'Éricey, rzekł książę, może odjechać zanim zejdzie.

— Zaczekaj chwilkę, Heleno, pobiegnę ją zawiadomić

I prędko wbiegł na schody. Wtedy Helena zwróciła się do księcia.

— Więc to w taki sposób będziemy się widywać i rozmawiać? rzekła cicho. Czy dla tego podjęłam tyle zabiegów i starań aby uśpić podejrzenia pani d'Éricey i dobrze być widzianą w jej domu? Tam będąc zaledwie się przywitamy; tu z nią tylko książę rozmawiasz — miało być inaczej.

— Niepodobna, odrzekł, tak być musi czas jakiś. Należy unikać wszystkiego co mogłoby zwrócić na nas uwagę. Mąż twój nie byłby wygodnym mężem a i ona nie jest bardzo tolerująca.

Helena wzruszyła ramionami.

— Cierpliwości, rzekł znowu książę, zobaczymy się jutro u pani de Bers, tam będziemy zupełnie swobodni.

I odsunął się właśnie w chwili gdy Jerzy wracał z panią d'Éricey,

Zatrzymał się na chodniku z przeciwnej strony, patrząc na odjeżdżające pojazdy. Najprzód przejechała Helena, następnie pani d'Éricey.

— Przeszłość i przyszłość! rzekł sobie. Co prawda, wolę przyszłość. Helena będzie gniewać się i unosić, ale przeszkodzić nie zdoła — a ta druga musiałaby być djabelnie mądra i sprytna; jeżliby zdołała ujść sieci jakie na nią zastawiam, ja co jak na pasku wodzę jej męża.

I poszedł pogwizdując „La donna è mobile."

IV.

Jerzy nie chciał wyjawić pani d'Éricej gorszących zajść jakie wywołała w klubie szalona gra jej męża i wynikłe ztąd sceny — jednakże niezadługo dowiedziała się o wszystkiem. Pan d'Éricey był w ogóle nielubiony; w klubie nie szczędzono mu ostrych przycinków; prędki i opryskliwy, czuł że ich znosić nie potrafi, i dla tego wypisał się z klubu. Przez kilka dni głośno rozprawiano o tem w Paryżu.

Dotknęło to boleśnie Stefanię; że jednak nie zwierzała się nikomu z tem nowem zmartwieniem, że ani słowko skargi z ust jej nie wyszło, nikt nie śmiał rozpocząć z nią rozmowy w tym przedmiocie. Lecz ostatnia ta kropla przepełniła czarę goryczy jaką napawano ją nieustannie, i zdrowie jej nadwątlone nieustannym niepokojem i bolesnemi wzruszeniami, pogorszyło się znacznie. Zbladła bardzo, była ciągle smutna i nadzwyczaj przygnębiona, i wbrew zwyczajowi całe godziny przesiadywała przed kominkiem, bezczynna i milcząca. Wieczoram, gdy zeszło się kółko zwykle odwiedzających ją znajomych i przyjaciół, nie brała udziału w rozmowie, nie ożywiała jej jak zwykle jakiemś dowcipnem słówkiem lub spostrzeżeniem.

Wdzięczną była Helenie iż starała się zastępować ją i wyręczać, gdyż czuła się tak przygnębioną i osłabioną iż nawet odezwanie się ją męczyło, każde prawie poruszenie przychodziło jej z trudnością. Nie uszło to uwagi Jerzego, mocno zaniepokojony, częściej teraz ją odwiedzał.

— Co tobie, Stenio? zapytał raz widząc ją tak przygnębioną; ty tak mężna i z taką odwagą znosząca smutną dolę swoją, co tobie?

— Nic, to, odrzekła, tylko ogromne osłabienie i coraz mniej sił do dźwigania ciężaru życia, bez żadnej ulgi ni poparcia. Daremnie spoglądam w koło siebie, jestem sama, zawsze sama, nigdzie współczucia, nigdzie pociechy!...

— Stenio! zawołał, czyż nie wiesz że są serca co cię prawdziwie kochają?

— Wiem, przyjacielu, ty i ojciec twój; czuję to, jestem o tem przekonana, i może właśnie ta pewność jedynie utrzymuje mnie przy życiu. Ale i ty, przyjacielu, nie jesteś szczęśliwy, i to zwiększa jeszcze cierpienie moje.

Jerzy z westchnieniem opuścił głowę.

— Czuję to i widzę, choć nic mi nie mówisz, dodała.

— Masz słuszność, Stenio. Helenie powróciło znów dziwaczne jej usposobienie, co nader przykrem i trudnem czyni nasze życie domowe. Jedyne dla mnie spokojne chwile, są te które tu przepędzam.

— Ale, rzekła po chwili wahania, może te częste odwiedziny twoje nie podobają się Helenie?

— Przeciwnie; sama mnie do nich nakłania. Wyrzucała mi wczoraj ostro że cię zaniedbuję, i wystawiam przez to na łup nadskakiwań i czułych starań jakiemi otacza cię książę de Sauves.

— Nigdy tego nie dostrzegłam, odrzekła zdziwiona. Zachowanie się jego jest lepsze niż spodziewałam się po nim; wywiera bardzo zbawienny wpływ na Feliksa, powstrzymał go od wielu zgubnych wybryków... a wielkie to szczęście, gdyż pan d'Éricey tak ślepo daje mu się powodować, iż gdyby chciał mógłby go na najzgubniejszą popchnąć drogę.

Stefania szczerze wypowiedziała myśl swoją; nie nabrała dotąd lepszego o księciu de Sauves wyobrażenia, ale sama nic nie miała mu do zarzucenia. Zachowanie się jego względem Heleny było nietylko nienaganne, ale nawet okazywał się najzupełniej obojętnym; rozmawiał najczęściej z osobami poważniejszemi, które umiał zjednać sobie uprzejmością i dowcipem. Niekiedy znowu był szczególniej grzeczny dla niektórych pań, i umiał je zająć i zabawić. Ani razu nie próbował zbliżyć się tak do pani de Fleynac, aby mógł rozmawiać z nią na osobności; prędzej możnaby mniemać że jej unika, i niekiedy zdawało się Stefanii że to gniewa Helenę.

Zastanowiło Stefanię spostrzeż nie jakie Helena objawiła mężowi i dla tego wieczorem dnia w którym rozmawiała z Jerzym, większą zwróciła uwagę na postępowanie księcia de Sauves, i pierwszy raz wtedy dostrzegła że rzeczywiście otaczał ją najdelikatniejszemi względami, ale nacechowane były tak głębokim szacunkiem iż nic przeciw temu mieć nie mogła. Zastanowiło ją jednak co mogło skłaniać Helenę do zwrócenia uwagi męża na tę okoliczność.

Rozmyślając nad tem, mimowolnie zwróciła oczy na księcia de Sauves stojącego w głębi salonu, i spostrzegła iż Helena prędko zbliżyła się do niego. Stanęła plecami zwrócona do salonu i osłonięta nieco portierą, zaczęła mówić mu coś nadzwyczaj żywo. Oczy jej ciskały błyskawice, policzki pałały, usta drgały, zdradzając uniesienie nad którem widocznie nie umiała zapanować. Książę słuchał chwilę spokojny i obojętny, i odpowiedziawszy zaledwie parę słów, ukłonił się i przeszedł do salonu gry.

W tejże chwili Jerzy wszedł do salonu; nie chcąc aby zauważył pomieszanie żony, Stefania przywała go do siebie; zaledwie kilka słów przemówili do siebie, Helena zbliżyła się, wołając oschle do męża.

— Chodź, chcę już wracać do domu.

— Ależ dopiero wszedłem: zaledwie przywitałem się ze Stefanią, odrzekł z uśmiechem.

— Stefania obejdzie się bez ciebie, książę doskonale cię zastąpi.

Jerzy poczerwieniał z gniewu; aby go uspokoić Stefania odpowiedziała:

— Byłaby to nader niekorzystna zamiana, zatem nie zgadzam się na nią; takiego przyjaciela jak Jerzy, nic i nikt zastąpić nie zdoła.

Helena wypowiedziała kilka słów niewyraźnych; Jerzy wstał niezadowolniony.

— Bywaj zdrowa, kochana Stefanio, zobaczymy się jutro. Spodziewam się że zapomnisz niestosownego żartu Heleny?

— Nie ma o czem mówić, odpowiedziała, i biorąc pod rękę Helenę postąpiła z nią parę kroków.

— Czyżby książę de Sauves ubliżył ci, Heleno? zapytała; wiesz co mnie zniewala do przyjmowania go, ale jeźli poważył się uchybić ci w czemkolwiek, nie powstrzymają mnie żadne względy i powiem mu aby zaprzestał swych odwiedzin.

— Nie, nic podobnego nie miało miejsca, odrzekła prędko mocno zadziwiona — tylko ostrzegam cię, Stefanio, strzeż się księcia.

Pani d'Éricey wstrząsnęła spokojnie głową; Helena zrozumiała znaczenie tego ruchu, pochyliła się prędko, uściskała Stefanię i wyszła.

Wracając zamyślona na swoje miejsce, spotkała księcia prowadzącego żywą rozmowę z Feliksem.

— Niepodobna, mówił pan d'Éricey; co za szalony pomysł podróżować w tej porze roku!... jesteś mi niezbędnie potrzebny... bez ciebie nic nie poradzę...

— Wyjadę tylko na parę tygodni, odrzekł pan de Sauves; tak będzie najlepiej, za nic w świecie nie chciałbym narazić się pani d'Éricey, która tak dobrą była dla mnie... Ale otóż właśnie nadchodzi!

Czy tylko nie widział że się zbliża ku nim, i nie chciał aby słyszała ich rozmowę?

— Szukaliśmy właśnie pani, rzekł do niej; pragnąłem pożegnać panią, gdyż wyjeżdżam na Południe na parę tygodni.

Zadziwiona niewymownie Stefania podała mu rękę którą uścisnął z uszanowaniem.

Gdy książę opuścił salon z Feliksem, usiadła rozmyślając nad wszystkiem co zaszło tego wieczoru — czyżby zachodził jaki związek między niezadowolnieniem Heleny a wyjazdem księcia? Goście już się rozeszli: Feliks wrócił do salonu i kwaśny rzucił się na kozetkę.

— Djabli nadali te wszystkie historye!... i to teraz właśnie gdy de Sauves tak mi był potrzebny!... głupia baba!...

— O kim się tak wyrażasz? zapytała zdziwiona.

— A o kimżeby jak nie o twojej przyjaciółce Helenie.

— Feliksie!

— Nie masz powodu jej bronić, będąc najlepszą przyjaciółką jej męża Mnie on tam nic a nic nie obchodzi, i zupełnie mi obojętne jak żona przystraja jego głowę — ale nie mogę jej darować że de Sauves odjeżdża teraz właśnie kiedy mi najpotrzebniejszy... niech ją djabli wezmą!

— Ale... cóż odjazd ten ma z nią wspólnego?

— Masz tobie! czy nie widzisz że mu się narzuca i nie da spokoju.. Zalecał się kiedyś do niej — zachciało jej się wskrzesić przeszłość.

— Feliksie!

— Bah! czy gwałtem chcesz zasłaniać sobie oczy? Gdy powrócił, przypomniały mu się dawne dzieje, i myślę dla tego głównie chciał tu bywać, by wznowić przerwany romans... Ale doprawdy jesteś nie-

wdzięczna co się nazywa, bo on jedynie aby się tobie nie narazić unika Heleny i zimno przyjmuje jej umizgi... No, co prawda już dawno zapomniał o niej... taka to już nasza męzka natura... wszyscyśmy hultaje.

I rozśmiał się zadowolniony ze swego dowcipu; po chwili rzekł kwaśno:

— Zły jestem co się nazywa... co pocznę bez niego?...

Stefania westchnęła i podniosła się z fotela; twarz jej i cała postawa zdradzały taki smutek i pognębienie, iż patrząc na nią nawet ten znikczemniały człowiek uczuł się wzruszonym.

— Jesteś bardzo zmęczona... co?... od jakiegoś czasu bardzo pobladłaś... trzebaby poradzić się doktora... dobranoc!

Postąpiła ku drzwiom, chcąc przejść do swego pokoju, zadziwiła się widząc że zbliża się ku niej.

— Wesprzyj się na mojem ramieniu, rzekł prawie słodkim głosem. Widocznie jesteś cierpiąca... poślę zaraz po doktora.

— Nie ma potrzeby, to przejdzie, odpowiedziała wzruszona niezwykłą jego troskliwością.

— Nie — stajesz się coraz bledsza... proszę poradź się... jutro przyślę ci doktora.

— Dziękuję ci, Feliksie, rzekła podając mu rękę.

Czy słodki głos jej zdołał poruszyć to serce zgubione złem jego życiem?... Odchodząc włożył ręce w kieszenie, mówiąc sobie:

— Ładna kobiecina... i bądź co bądź bardzo dobra.

Nazajutrz Stefania zadziwiła się niewymownie, widząc męża wchodzącego do niej przed oddaleniem się doktora.

— No cóż, doktorze, zapytał, dużo tam zapisałeś mikstur, proszków, pigułek i przeróżnych trucizn?

— Lekarstw, czy jak pan nazywasz trucizn, prawie żadnych, ale zalecam zupełny spokój i wypoczynek. Zabraniam przyjęć, wizyt i zbytniego zajmowania się innymi z narażaniem własnego zdrowia... Ograniczyć się na małem kółku przyjaciół, unikać najstaranniej wszelkich wzruszeń i utrudzenia... Nie prędzej wrócę wolność pani d'Éricey, aż gdy zasłuży na to odzyskaniem sił i zdrowia.

Wychodząc, doktór skinął na Feliksa.

— Rad jestem, rzekł, że mogę pomówić z panem na osobności. Obecnie nie zagraża pani d'Éricey blizkie niebezpieczeństwo, ale organizm jej jest bardzo delikatny, stan jej zdrowia z łatwością może się pogorszyć. Potrzeba teraz najzupełniejszego spokoju, unikać wszystkiego coby mogło ją zmartwić lub męczyć... gdyż choroba mogłaby rozwinąć się nagle i stać nader groźną.

— Hum!... ja nie daję do tego powodu... tak już przywykła do mego postępowania... przykro mi że jest cierpiąca.. uczynię co w mojej mocy.

— Liczę na to; odrzekł doktór, i wyszedł wzruszając ramionami.

V.

Świat wyobraża sobie i wierzy iż ciężka to dola być pozbawionym jego rozrywek i uciech i skazanym na osamotnienie: lecz ci co wiele przecierpieli, wiedzą jak miło jest ni kiedy zamknąć się w sobie, rozmyślać w milczeniu i w odosobnieniu nabrać sił do przebiegania znowu stromej, ciernistej drogi życia.

Czas zakreślony przez doktora dla odzyskania sił, stał się dla Stefanii chwilą wytchnienia i uspokojenia moralnego. Nie doznawała silniejszych cierpień czuła się tylko osłabioną. Ona która całe życie myślała tylko o innych zapominając o sobie, doznawała jakiejś szczególniejszej pociechy, widząc się przedmiotem troskliwości innych. Mogła się przekonać jak prawdziwie była kochaną od swoich przyjaciół; ci którym dozwoliła się odwiedzać, okazali się godnymi tego przywileju, przybywając lub dowiadując się codziennie o jej zdrowie. Sam nawet pan d'Éricej dogadzał jej po swojemu, odwiedzał pare razy dziennie, obładowany cukierkami które dla niej znosił. Choć ich nie jadła, dziękowała mu zawsze najuprzejmiej, z właściwym sobie wdziękiem. Nadto pomimo nawału pracy, Jerzy przychodził codziennie o piątej, przynosząc dawnej przyjaciółce bukiecik fiołków. To współczucie jego największą dla niej było pociechą.

Rzadko kiedy zostawali sami; ciągle ktoś przychodził lub odchodził; rozmowa była ogólna, ale nic nie zdołało przerwać niewidzialnego węzła przyjaźni i współczucia jaki łączył ich z sobą. Zresztą zawsze znalazła się chwilka w której Jerzy mógł zbliżyć się i porozmawiać poufalej. Mówił wtedy o swoich pracach, o ważnych sprawach do jakich był wciągnięty skutkiem swego mandatu do Izby deputowanych — a jak umiała słuchać, jak rozumiała co mówił i jak zdrowy sąd objawiała o wszystkiem!

O Helenie, Jerzy nie wspomniał nigdy, nie chcąc opisem smutnego swego pożycia zasmucać przyjaciółki.

Pani de Fleynac prawie już nie pokazywała się w pałacu d'Éricey; od chwili jak nie zastawała tam tego dla którego przychodziła tak często; rzuciła się w wir uciech, balów, koncertów, teatrów; nie troszcząc się o męża który teraz zostawiał jej zupełną wolność, o ile zezwalały na to konwenanse światowe.

Czas upływał jak te piękne dni jesienne które zima mrozi lodowatym swym oddechem; ów spokój i wypoczynek widocznie oddziałał zbawiennie na Stefanię, która czuła się zdrowszą i silniejszą. Pewnego dnia Feliks wbiegł do niej z rozpromienioną twarzą.

— Ach! przecież powrócił! zawołał.

— Kto taki? zapytała?

— A ten kochany książę którego tak niecierpliwie oczekiwałem. Takie kłopoty... zaledwie przybył, wszystko się załatwiło... Przyjdzie do nas wieczorem; proszę przyjm go mile... Będziem grać w karty w sąsiednim pokoju, i zaglądać tu do ciebie.

— Dobrze, ale nie będziecie grać o znaczniejsze summy.

— Nie! nie! bądź spokojna; doktór miał słuszność, widocznie przychodzisz do siebie.

I miał słuszność; dzięki spokojnemu wypoczynkowi, różowy rumieniec powrócił na lica Stefanii, usta poczerwieniały, oczy dawny blask odzyskały. Ujrzawszy ją tak w pięknym białym negliżu, włosy wprost zebrane w siatkę, książę został olśniony jej powabem, wydała mu się teraz piękniejszą niż kiedykolwiek.

Człowiek ten wzrosł i spędził wiek młodociany w najwyższym świecie, opuścił go następnie aby się rzucić w odmęt rozkiełznanego życia. Skierował łódź swoją w fale tak błotniste, a namiot swój rozpiął w tak wstrętnych przestrzeniach, iż prawie stracił poczucie prawdy, dobra i piękna, — ale wiekuiste te promienie pozostawiają zawsze ślad jakiś w duszach którym przyświecały. Najmniejsza iskierka może je znowu rozniecić, i zabłysną jak w ciemnej nocy błyszczą niekiedy świecące odblaski.

W pięknym saloniku Stefanii, zbudziły się w nim dawno uśpione instynkta; umiał ocenić pełne prostoty i uroku powaby pani domu — i zapragnął się podobać. A łatwo mógł tego dokazać. Posiadał rozległe wiadomości; giętki umysł jego umiejący do wszelkich zastosować się wymagań, nie zawiódł go i teraz, wkrótce pozyskał uznanie małego zbierającego się tu kółka przyjaciół Stefanii. Spotykano go tu i witano z przyjemnością. Potrafił nawet delikatnie dać do zrozumienia Stefanii, iż pragnie gorąco i ma nadzieję że potrafi nawrócić Feliksa na dobrą drogę, zbawiennemi swemi radami.

I rzeczywiście zdawało się że pan d'Éricey ustatkował się nieco, a przynajmniej nie mówiono o nowych jego skandalicznych wybrykach. Stefania zupełnie już przyszła do siebie, ale żal jej było rozstać się z tem życiem cichem i spokojnem — tak mało chwil podobnych miała w życiu! Drżała na samą myśl odzyskania wolności.

Pewnego dnia, gdy Jerzy żegnał się z nią po dość długich odwiedzinach, rzekła smutnie:

— Gdy doktór zniesie swój zakaz, trzeba będzie pożegnać się z poezyą i wrócić do rzeczywistego życia... jakże mi brak będzie tych ukochanych chwil razem spędzonych!...

— A czyż sądzisz że i ja nie uczuję tego boleśnie, odrzekł przytłumionym głosem; o! ja nieszczęśliwszym jeszcze będę!

Wypowiedział to głosem dźwięczącym tak bezbrzeżną boleścią i tak niezgłębionym smutkiem, że Stefania zadrżała; opuściła smutnie głowę, on pocałował ją w rękę i wyszedł nie mówiąc już ani słowa.

Stefania pozostała zmieszana i przerażona; po chwili uspokoiła się jednak.

— Co za szalona myśl! pomyślała sobie; trzebaż aby rzecz tak prosta tak głęboko mną wstrząsnęła! Jerzy żałuje poufnych zwierzeń i szczerego współczucia jakie tu jedynie znajduje... Mogłażem zapomnieć, czyż nie wiem jakie są jego dla mnie uczucia i że nigdy inne nie mogło powstać w jego sercu... Wzruszenie to z mej tylko duszy wypływa... O Boże mój! czyż nigdy nie zdołam zatrzeć w mem sercu wspomnień przeszłości!...

Ale Stefania umiała panować nad sobą; nazajutrz zaraz prosiła doktora aby jej już otworzył drzwi więzienia. Zadziwiło go to, gdyż sądził że była zadowolnioną z tych chwil wypoczynku, zgodził się jednak na jej żądanie, choć znalazł ją nie tak dobrze jak wczoraj.

Zauważono że Stefania zmieniła rozkład godzin; nigdy teraz nie bywała w domu o piątej; Jerzy przychodził daleko rzadziej. Nakłaniała go do pracy; starała się obudzić w nim ambicyę i chęć odznaczenia się, w skutku czego nie miał prawie wolnego czasu. Jerzy de Fleynac kilkakrotnie już przemawiał w Izbie; talent jego objawiał się coraz wyraźniej, ale też coraz więcej spraw musiał badać i zgłębiać, co nie dozwalało mu często odwiedzać Stefanii. Nie użalała się ale cierpiała nad tem, że tak rzadko widuje przyjaciela lat dziecinnych.

— Pani d'Éricey widocznie za prędko powróciła do dawnego rodzaju życia, doktór nie powinien był jeszcze pozwolić na to — mówili przyjaciele Stefanii

Jakoż rzeczywiście Stefania często bywała rozdrażniona i nie odzyskała dawnej jednostajności humoru. Już to zdawała się wesoła, już znękana i znużona, i tylko przez grzeczność przyjmująca udział w rozmowie.

Książę umiał stać się użytecznym i bywał coraz częściej. Przynosił różne wiadomości i nowiny, opowiadał posiedzenia Izby, co zawsze żywo zajmowało Stefanię, i widocznie zbawiennie oddziaływał na Feliksa. Odprawiona Saltarella, pojechała skakać

gdzieś na cudzoziemskiej scenie., i jeżli życie pana d'Éricey nie ulegało rzeczywistej zmianie, to przynajmniej grubszą pokrywał je zasłoną. Wszystko to zapewniło panu de Sauves lepsze stanowisko w salonie Stefanii. Jerzy zauważył że nie jednokrotnie więcej rozmawiała z księciem niż z nim... i odczuł to boleśnie. Gdyby był mógł czytać w głębi duszy szlachetnej kobiety, poznałby powód, który nakazywał jej tam się zwracać, gdzie nie obawiała się niebezpieczeństwa.

Minęła zima, wiosna umaiła znów zielenią i kwieciem ogród Cours la-Reine. Liczni goście zasiadali w cieniu woniejących bzów; nawet Helena oddana wyłącznie przez zimę uciechom i towarzystwu pani de Bers i jej podobnych, przychodziła teraz niekiedy. Z księciem de Sauves obchodziła się wyniośle, on był dla niej ceremonialnie grzeczny. Starał się jak najmniej oddalać od pani d'Éricey; Helena ścigała go zazdrośnym wzrokiem, z gniewnym i szyderskim uśmiechem.

Pewnego dnia, około godziny szóstej, zastała księcia siedzącego obok pani d'Éricey, w małem, z kilku osób złożonem kółku. Zwykle książę de Sauves nie bywał o tej porze, ale Feliks zaprosił go dnia tego na obiad, żalecając aby przyszedł nieco wcześniej gdyż chciał z nim o czemś pomówić. Oczekując na niego, rozmawiał z panią d'Éricey. Helena zauważyła że książę ma niezwykle zadowolnioną minę i nie posiadała się ze złości.

W tejże chwili Feliks wszedł do salonu; przychodził po swego ukochanego przyjaciela.

— A! jesteś pan przecie! rzekła do niego Helena cierpkim głosem, sądziłam że cię tu nigdy nie ma.

— Hum! jak pani widzisz pojawiam się niekiedy, odrzekł kwaśno.

— O! niepotrzebnie się pan trudzisz, są tu tacy, co starają się cię zastąpić.

— Co za tacy? cóż to ma znaczyć? odrzekł z gniewem.

— A naturalnie że najlepszy pana przyjaciel.

— Ha! ha! rzekł uspokojony nagle, wiemy o co ci chodzi, piękna pani; chciałoby się nas poróżnić, co? ale znamy się na tem!... a zwracając się do księcia, dodał: Chodź, mój drogi, czekają na nas w moim gabinecie.

Książę wstał i wyszli trzymając się pod ręce; Helena słyszała jak w drugim zaraz pokoju głośno śmiać się zaczęli, co ją przywiodło do wściekłości.

Rzuciła się na opróżnione przez księcia krzesło obok Stefanii.

— Widzę że zmyślny książę postawił na swojem — jakoś bardzo chętnie tolerujesz jego tu częste odwiedziny.

— Tak jak i innych przyjaciół mego męża, odpowiedziała Stefania.

— No, tak, przyjaciele męża są naszymi przyjaciołmi, znamy się na tem i rozumiemy.

— Ale ja nie rozumiem co chcesz przez to powiedzieć, odrzekła Stefania, patrząc jej prosto w oczy; proszę chciej wytłomaczyć mi...

Helena pochyliła się ku niej z zaiskrzonym wzrokiem, nie posiadała się ze złości i Bóg wie co wypowiedziałaby w passyi, ale na szczęście jedna z obecnych pań zbliżyła się aby pożegnać panią d'Éricey, która wstała chcąc ją wyprowadzić. Helena miała czas ochłonąć. wyszła też zaraz, żałując może iż nie umiała zapanować nad sobą.

Ta scena z Heleną bardzo rozdrażniła Stefanię; cały wieczór brzmiały jej w uszach pełne złości i żółci słowa pani de Fleynac, w których prawie wyraźnie tak niecny czyniła jej zarzut. Zostawszy samą, zeszła do ogrodu, chcąc widokiem pięknej, pogodnej nocy uspokoić podrażnione nerwy. Tu wszystko oddychało świeżością i spokojem. Zdawało jej się że ten łagodny półcień jakby kojący balsam oddziaływał na nią. Lekki, wilgotny wietrzyk zawiewający od rzeki orzeźwił ją i chłodził rozpalone czoło. Goście wcześnie się rozeszli, mogła więc posiedzieć czas jakiś spokojnie. Rozmyślała nad dziwną plątaniną losów i przeznaczeń, gdy nagle zwrócił jej uwagę odgłos szybko zbliżających się kroków. Kobieta jakaś osłonięta czarnem okryciem, biegła prędko ku niej, stanąwszy przed Stefanią zrzuciła kapturek — pani d'Éricey poznała Helenę, zadyszaną i drżącą. Pochwyciła gwałtownie obie ręce Stefanii osłupiałej z zadziwienia, wołając nadzwyczaj zmienionym głosem:

— Ocal nas! ocal jego! w twojej to jedynie jest mocy.

— Kogo?... o co chodzi? zapytała drżąca Stefania.

— Jerzy!... będzie się pojedynkować z księciem, jeżli temu nie przeskodzisz.

— Jerzy!... cóż za powód!...

— List.. nieostrożność pani Bers... Jerzy zarządał innych i znalazł je... O! odwracaj się odemnie... jestem nikczemna... ale tak kochałam księcia, była to pierwsza, jedyna miłość moja... i on mnie kochał póki nie poznał ciebie... A teraz mają się bić. Wiem że Jerzy cię obchodzi, jesteś jego przyjaciółką — ocal jego życie! Staraj się wymódz na księciu aby wyjechał tej nocy — Jerzy jutro rano dopiero może mu posłać swoich sekundantów.

— O Boże! miej litość nad nami! zawołała Stefania. Biedny zdradzony przyjacielu!... życie twoje złamane.

— Trzeba żebyś się niezwłocznie widziała z księciem; jest jeszcze u twego męża; staraj się wymódz na nim aby wyjechał natychmiast — nie potrafi się oprzeć, gdy ty żądać tego będziesz.

— Tak, rzekła jakby przez sen pani dÉricey; nie ma rady; idę.

I zapominając o Helenie weszła do salonu. Helena pobiegła za nią.

— Otwórz mi boczne wyjście, zawołała; wymknęłam się z domu niedostrzeżenie, podczas gdy Jerzy pobiegł szukać świadków — muszę wrócić przed nim.

Pani d'Éricey machinalnie spełniła jej życzenie; stała jeszcze przy drzwiach które tylko co się zamknęły; i próbowała zebrać myśli, gdy wtem portiera rozsunęła się, książę de Sauves zajrzał do pokoju, pytając:

— Czy jesteś tu, Feliksie?

Wtem postrzegł panią d'Éricey bladą jak ściana, stojącą nieruchomie jakby przykuta do miejsca.

— O nieba! co się pani stało?... czy mam zadzwonić?

— Nie, rzekła, upadając na fotel, niebo pana tu zesłało. Helena tylko co wyszła... mąż jej wie o wszystkiem... poszedł po świadków mających pana wyzwać... Na miłość Boga! staraj się pan zapobiedz nieszczęściu... wyjeżdżaj natychmiast, i choć tym sposobem wynagródź złe którego jesteś sprawcą!...

Książę z gniewu do krwi przygryzł sobie usta.

— Przeklęta kobieta, zawołał; to ona, to jej zazdrość jest przyczyną wszystkiego... Nie darmo odgrażała mi się ciągle... chce tym sposobem zmusić mnie abym z nią uciekał.

— Nie spotwarzaj jej pan... winna temu nieostrożność jej przyjaciółki... listy wpadły w ręce Jerzego...

— O pani! dusza twoja zanadto wzniosła i czysta, abyś mogła pojąć podobną nikczemność, uwierzyłaś więc w jej kłamstwa — ale mnie ona nie oszuka, rozumiem doskonale uknutą przez nią intrygę. Ale wszak mogłaś pani widzieć że wszelkiemi sposobami starałem się jej unikać aby nie dopuścić tak smutnych następstw.

— Mniejsza o moje w tym względzie zdanie. myśl pan tylko jakby można przeszkodzić temu nieszczęściu.

— Ależ właśnie pani zdanie i sąd o mnie jedynie mnie obchodzi. Albo ja tego człowieka albo on mnie zabije — mniejsza o to! ale czyż nie rozumiesz pani co kierowało postąpieniem tej szalonej kobiety?... ale nie, to niepodobna... pani pojmujesz to i widzisz... odgadujesz bezgraniczną miłość jaką serce moje pała ku tobie... Ona poznała że jesteś jedynym celem myśli i uczuć moich, że życie moje do ciebie należy.. że kocham cię jak nigdy jeszcze nie kochałem.

Stał przed Stefanią, pochylony ku niej, obejmując ją wzrokiem pałającym pochłaniającą namiętnością.

— Oddal się pan! zawołała zrywając się z fotela, a blada twarz jej przybrała wyraz niewysłowionej pogardy, — oddal się, wstręt i odrazę budzisz we mnie!

— Pani, błagam cię, zaklinam! posłuchaj mnie chwilę. Nie przygniataj mnie swą pogardą! mógłżem poznać cię i nie kochać, mógłżem widząc cię przykutą do tej niecnej istoty, do nędznika który cię zdradza i ocenić nie umie, nie żałować cię i nie uwielbiać zarazem. O Stefanio! ja cię kocham! ubóstwiam! jedno słówko nadziei a odjadę natychmiast, aby nie narazić życia twojego przyjaciela lat dziecinnych.

Zbliżając się do niej przydepnął skraj jej sukni, wysunęła ją gwałtownie z niewysłowioną odrazą, mówiąc:

— Odejdź pan natychmiast!... jesteś nikczemny!..

Pod wpływem gwałtownego wzruszenia, oboje nie widzieli że od kilku sekund portiera została podniesioną.

— O tak! podłym i nikczemnym! zawołał Feliks wpadając nagle i chwytając księcia za gardło. A! zapragnąłeś shańbić tę uczciwą i szlachetną kobietę i dla tego to zostałeś przyjacielem jej niecnego męża!... jesteś podły! podły!

I uderzył go w twarz.

Tak przerażająca scena była nad siły biednej Stefanii! nogi zachwiały się pod nią; uchwyciła się poręczy kozetki, ale bezwładne ręce opadły, osunęła się i padła zemdlona. Książę pierwszy to postrzegł.

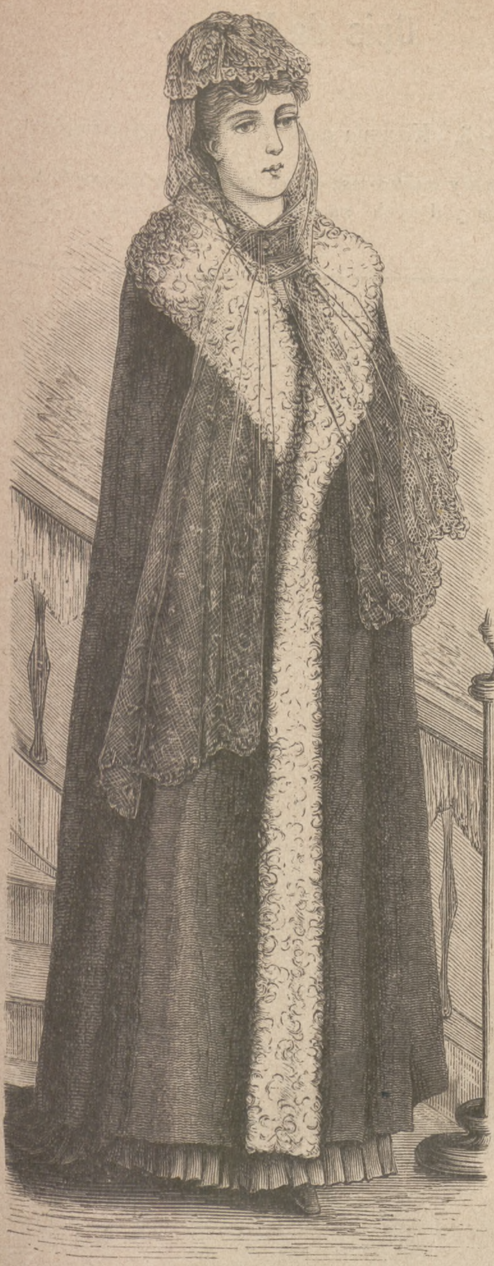
— Dość tego! rzekł zimno, czyż nie widzisz że ją zabijasz.

— A więc idź, ale będziemy się pojedynkować.

— Bezwarunkowo, ale oszczędźmy jej cierpień... powiedz jej że uznałem moją winę i przeprosiwszy cię, natychmiast odjechałem do Włoch. To ją uspokoi, a przed świtem bić się będziemy. Świadków mamy pod ręką.

To powiedziawszy wyszedł.

(d. c. n.)



N. 5. Burnus podszyty futrem.



N. 1 — 2. Majtki z szerokim garnirunkiem.



N. 3. Koszula nocna.



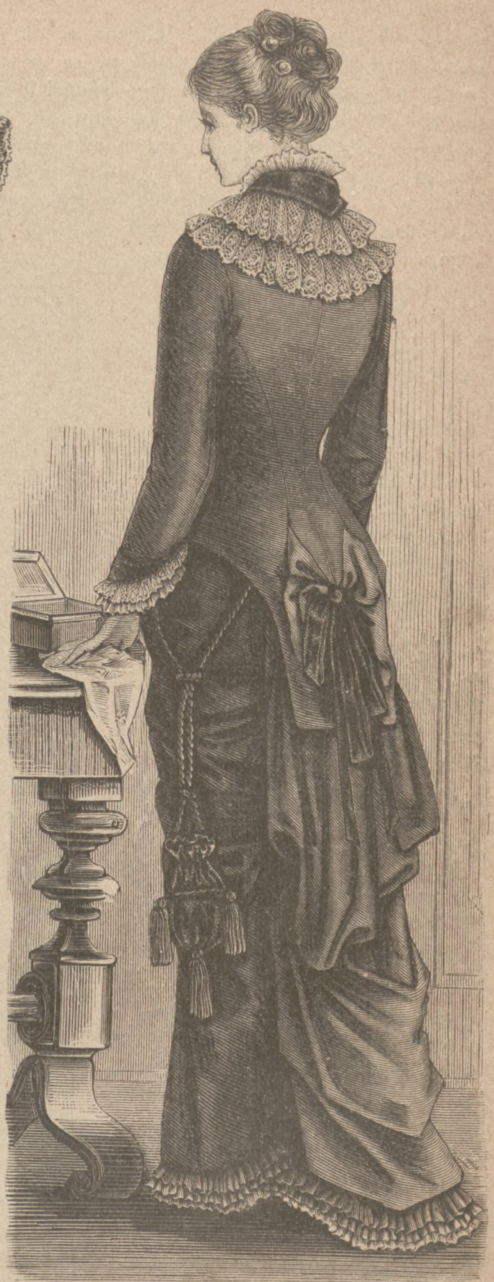
N. 10. Wykonanie kwaścika ryc. 9.



N. 4. Żabot z materyi.



N. 11. Wykonanie kwaścika ryc. 12.



N. 6. Suknia z długą tuniką.

Opis do N-ru 7.

(*Dokończenie.*)

N. 20 — 22. Serweta na stół. Haft złotem w guście tureckim.

(*Dokończenie.*)

Do haftu służy potrójna złota lub srebrna nitka równo na szpólkę lub stosowną igliczkę nawinięta, przy brzegach deseniu odwracana, a w środku równo krzyżowana sposobem wskazanym. Złoto przyszywa się na załamaniach jedwabiem żółtym, a srebro białym. Podłożenie powinno niknąć pod haftem, a końce uciętych nitek muszą być dobrze przykryte. Za tło służyć może także atłas lub plusz. Model serwety robiony był na atłasie zielonym, środek ciemniejszy trzymał 50 cent. w kwadrat, a szlak z jaśniejszego atłasu miał $10\frac{1}{2}$ cent. szerokości. Rzucik podany w naturalnej wielkości na ryc. 50, na tle haftowany był w odstępach $1\frac{1}{2}$, na szluku w odstępie $2\frac{1}{2}$ centymetrów. Pod tło daje się od spodu szyrtyng, a po wykończeniu serwety, podszewkę jedwabną lub kaszmirową. W miejsce kwastów w rogach można w koło oszyć brzegi frendzlą lub torsadą.

N. 23-24. Krzesło ozdobione aplikacją. Część de eniu naturalnej wielkości na ryc. 24.

Wierzch siedzenia i wysłaną część poręczy pokrywa aplikacya na atłasie, zaś brzegi siedzenia otacza pas 10 cent, szeroki pluszowy, nie wysłane brzegi poręcy obite są także pluszem.

Dobór kolorów zależy od woli; na modelu aplikacya ze szmaragdowego aksamitu, dana była na atłasie vieil-or; a plusz miał kolor blado zielony. Brzegi aplikacyi obwiedzione sznureczkiem jedwabnym, któren do tła vieil-or może być koloru złotego lub zielony, jaśniejszy od aksamitu. Zeszycie pluszu z haftem przykrywa sznur gruby jedwabny lub sznelowy. Frendzla 6 cent. szeroka przybita goździkami z dużemi główkami bronzowemi. W rogach na pluszu dane bronzowe rozety.

N. 28. Sukienka dla małej dziewczynki z plisowanym plastronem.

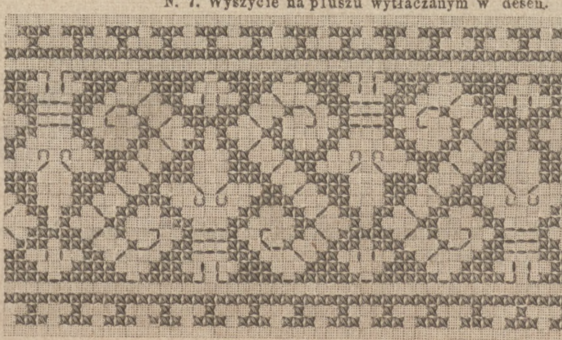
Bardzo strojna sukienka z luźną formą princesse odrobiona była z pledowego materyału w kratę, aksamitu ciemno fjołkowego i takiegoż atłasu na wypustki



N. 7. Wyszycie na pluszu wytłaczanym w deseń.



N. 9. Kwaśk wiązany w pęczki patrz ryc. 10



N. 8. Szlak wyszyty krzyżykami.



N. 12. Kwaścik koronkowy. Patrz ryc. 11.

i pliski użytego. Spódniczka fałdowana 30 cent. długa i szeroki plastron z przodu, podszyte są w ten sposób że ubranie, zdaje się być złożone zoddzielnej fałdowanej sukienki i vetement. Do plastronu 18 cent. szerokiego, w odstępach 9 cent. rulonikami atłasowemi naszytego, od spodu podszytu jest plisowana falbana; do przodów i boczków z materyału w kratę, dodana jest od spodu, część fałdowana 10 cent. szoroka; plecy złożone w podwójną, od dołu luźno puszczoną kontrafałdę.

N. 29. Sukienka dla małej dziewczynki ozdobiona szarfą.

Spódniczka fałdowana oszyta była plisą w kratę 5 cent. zeroką takaż plisą zakończone vetement, zdobi szarfa prosta 16 cent. szeroka, na 10 cent. od wcięcia w pasie przeciągnięta przez otwory 5 cent. długie zrobione w przodach, a z tyłu na dużą kokardę związana. Na szarfie zawieszona jest na burcie 2 cent. szerokiej zgrabna kieszonka. Kołnierz i mankiety z materyału w kratę.

N. 30 i 31 Dwa kostiumy na zabawę maskową dla dzieci.

N. 32. Kosz na papiery. Haft na welwecie w deseń kolorowy.

Zdobiący kosz prosty pas haftu oszyty był u dołu 5 cent. szeroką kwaścikową frendzlą, a w górze barankiem 3 cent. szerokim, robionym na drutach z włóczki hamburskiej zielonej do cieniu z domięszaniem filozeli tego co welwet koloru, albo torsadą szmuklerską z włóczki krepowanej. Kontury deseniu obwodzi się sznureczkiem złotym lub srebrnym, jedwabiem okręcanym a w środkach daje się wyszycie ściegiem długim filozelą odpowieduich kolorów.

N. 33—35. Parasole.

Ryc. 33 przedstawia parasol jedwabny z cienką laską zakończoną gałką porcelanową w oprawie złoconej; ryc. 34 takiż parasol z główka zajęczą wyrobioną ze złoconego bronzu, a ryc. 35 parasol z piękną laską kościaną e starannie wyrobioną obsadą órną i w końcu dolnym.

N. 40—41. Ubrania strojne domowe lub na koncerty.

N. 40. Suknia ze stanikiem bawetowym.

Odrobiona była z kaszmiru i pluszu, z tego ostatniego dany był stanik z bawetem i długi gładki przedni bryt tuniki, oszyte bardzo szeroką frendzlą z perełek, jedwabiu i szneli. Spódnica oszyta 10 cent. szeroką, w kontra fałdy układaną, atłasową falbanką, i tylny podpięty bryt tuniki, były z kaszmiru. Żabot z wąskiej wstążki w atłasie i żółtawej koronki.

N. 41. Suknia ze stanikiem bluzkowym paskiem medicis.

Z materyi w drobne paski białe i popielate ciemno ponsowego surah, miała spódnicę oszytą u dołu dwoma 10 cent. szerokiemi, jedna na drugą zachodzącemi plisowaniami, nad któremi dana była skośna 30 cent. szeroka falbana ułożona w kontrafałdy, na 7 cent. od dołu kiika razy rzemarszczona. Na falbanę zachodziła poprzecznie ułożona draperya, w górze częścią z materyi surach zakończona. Do stanika bluzkowego z przodu dodane podwójne panier. Szmizetka, mankiety i pasek medicis, z boku na kryte haftki zapięty z surach.

N. 42. Suknia z vetement formą princesse. u dołu podpiętą draperyą zakończonem dla małej panienki. Plecki z baskiną fałdowaną, dopełnia bryt prosty podpięty.

Opis do N-ru 8.

N. 1—3. Koszula nocna i majtki z garnirunkiem.

Obie pary majtek uszyte są z cienkiego szyrtyngu, podług form podanych na arkuszach z krojami, i wszyte w prosty pasek ściągnięty z tyłu na tasiemki. Strojny garnirunek składa się z wszywki haftowanej 4 cent. falbanki 6 cent. i koronki niciannj 5 cent. szerokiej. Rycina trzecia przedstawia koszulę której gors przysłonięty haftowanemi falbankami skład się z wszywek nicianych i haftowanych 5 cent. szerokich; wązki wykładany kołnierz oszyty falbanką mankiety odrobione odpowiednio do gorsu.

N. 4. Żabot z materyi ozdobiony wyszyciem i koronką.

Składa się z dwóch kawałków materyi sourah złożonej podwójnie, przyszytych do podstawy z sztywnego tiulu, po 14 cent. długich, po 12 szerokich, Złączonych zręcznym węzłem. Pod wyszycie krzyżykowe dane jest tło z jaśniejszej materyi 6 cent. szerokie po za niem zaś koronka plisowana 8 cent. szeroka.

N. 5. Burnus futrzany.

Na ubranie strojne wizytowe lub balowe najdogodniejsze do zarzucenia są burnusy; przedstawiony na ryc. 5 jest z cienkiego wełnianego materyału i liczy 340 cent. obwodu dolnego, od spodu podszyty tybetańskiemi barankami. Z takiegoż futra dany kołnierz 17 cent. szeroki obłożenie wzdłuż przodu 10 cent. szerokie.

N. 6. Suknia z długą tuniką.

Z pod niezmiernie długiej tuniki fałdowanej z przodu, a z tyłu dopełnionej prostym podpinanym brytem. wyglądają u dołu tylko trzy drobniutkie plisowane falbaneczki. Długi frakowy stanik zapięty na dwa rzędy ma z tyłu na baskinie dodane zwierzchnie oddzielne części lekko zbufowane i przepięte aksamitną kokardą. Kołnierz aksamitny chusteczkowy i wykłady na rękawach są ogarnirowane dwa razy koronką. Z boku na sznurze jedwabnym zawieszona kieszonka jaką odrobić można podług wzorów podawanych w Tygodniku.

N. 7. Wyszycie na pluszu wytłaczanym w deseń. Na pokrycie poduszek, krzeseł, taboretów i t. p.

Robota przedstawiona na ryc. 7 jest dosyć łatwą w wykonaniu a niezmiernie efektowną. Deseń który odznacza się na tle pluszowem, podany w połowie naturalnej wielkości, widać jednak na nim dokładnie rodzaje luźnych ściegów jakiemi jest wyszyty. Do odznaczenia konturów użyta niedzielone filozela, przeszywana poprzecznemi ściegami; na kratki, wyszycie supełkowe, i długie luźne ściegi brany jedwab niekręcony w różnych kolorach lub w kilku cieniach koloru tła. Ciemne, nakształt szneli odznaczające się żyłki i liski są wytłoczone fabrycznie w deseniu.

N. 13—19. Ubrania balowe i strojne wizytowe.

N. 13. Suknia z draperyą. Patrz ryc. 16 w N. 7.

Odrobiona z jedwabnego repsu i aksamitu koloru bordau ma przy spódnicy z wielkim trenem dane falbanki marszczone lub plisowane Przednie bryty są przykryte draperyą, z aksamitnej i dwóch repsowych szalowych części po 46-53 cent. szerokości. Upięcie na tylnym brycie dane podług ryc. 16 w N. 7 dane z bryta w połowie aksamitnego w połowie repsowego, wyciętego u dołu w dwa zęby. Stanik zapinany z tyłu na guziki, z przodu ścięty bawetowo, z tyłu mający długą frakową baskinę jest cały aksamitny. Półdługie rękawki są trzy razy wzdłuż przecięte i dopełnione jedwabnemi bufkami. Do przybrania sukni służy koronka Bobbinet 6 cent. szeroka.

N. 14. Suknia z hiszpańskim kaftanikiem.

Oryginalne dopełnienie ubrania stanowi krótki hiszpański kaftaniczek, z półdługiemi rękawkami, cały haftowany złotem i oszyty szeroką złotą frendzlą. Włożony jest do sukni princesse z niezmiernie długim trenem, otwartej z przodu w połowie długości i odsłaniają-



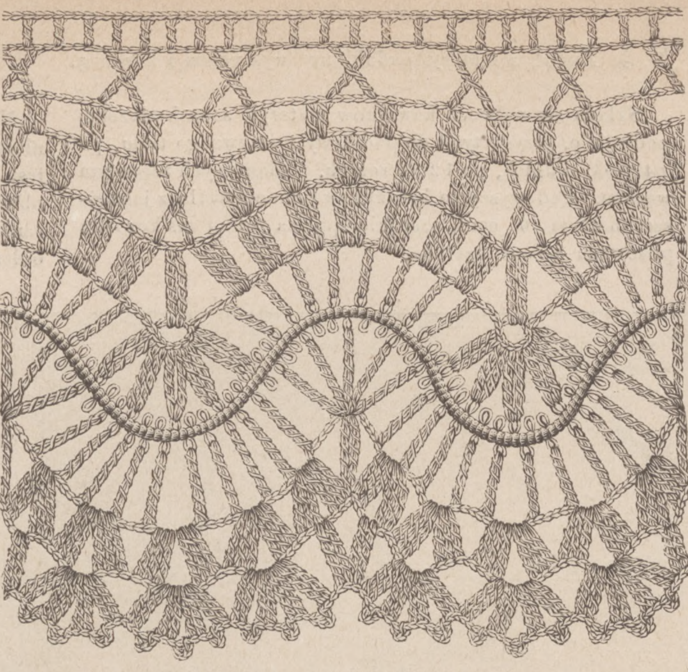
N. 13—19. Ubrania balowe strojne wizytowe.

13. Suknia z draperyą. Patrz ryc. 16 w N. 7. — N. 14. Suknia princesse z hiszpańskim kaftanikiem. — N. 15. Ubranie wieczorowe dla młodej osoby. — N. 16. Suknia z bluzkowym stanikiem. Patrz r. 17 w N. 7. — N. 17. Ubranie podług wzoru z XVI wieku. — N. 18. Ubranie balowe z mufką. — N. 19. Suknia z gładkim aksamitnym trenem.

cej bufowanie z materyi surah. Brzegi sukni z jasnego atłasu obszyte są szeroką wypustką i ozdobione szerokim złotym haftem. Przód zdobią klamry z kolorowemi kamieniami przedzielane kwastami szmuklerskiemi; zamiast kokardy związany gruby sznur jedwabny. Na głowie złota siatka złote sznury i blado różowe pióro.



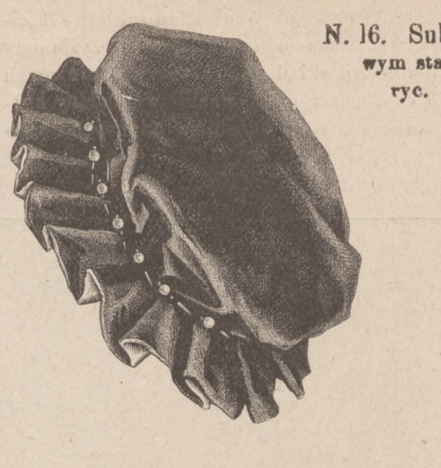
N. 20. Neglżyk z szydełkową koronką. Patrz ryc. 21.



N. 21. Szydełkowa koronka do ryc. 20.

N. 15. Ubranie dla młodej osoby.

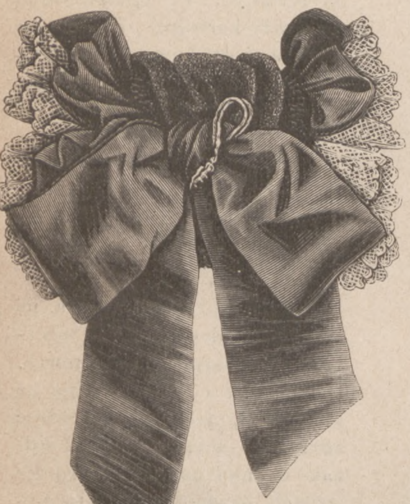
Bufki różnej szerokości składają garnirunek białej muślinowej sukni; plecy i przody stanika całe złożone są z bufek jak również rękawki oryginalnym fasonem. Dół sukni zdobi plisowana falbana i szeroka bufa, przepinana w równych odstępach wszywką walensjenkową. Tunika z przodu tworzy rodzaj panier a tylny fałdowany i prosto puszczony bryt przewiązany zwierzchu rodzajem szarfy muślinowej i dącej z boków. Do przystrojenia służą kwiaty blado różowe.



N. 22. Berecik aksamitny.

N. 16. Suknia z błuzkowym stanikiem. Patrz ryc. 17 w N-rze 7.

Blado żółty batyst i takiż indyjski muślin w kolorowe kwiatki, stanowi materjał na te gustowne ubranie. Przód sukni o ile go widać z pod tuniki ułożony jest w kontrafałdy; udołu w około dane trzy plisowane falbanki po 10 cent. szerokie i suta riusza zaplisowana drobniutko i ułożona w kontrafałdy. Tunika skośnie przerzucana przyszywa się wprost na sukni i dopełnia z tyłu podpinanym trytem. Zdobią ją bufki falbanki plisowane i obłożenie deseniowe. Stanik bluzkowy ma przody przemarszczane chusteczkowo co jest bardzo korzystne dla osób szczupłych. Szeroki pasek jedwabny spięty różami; rękawiczki ogarnirowane koronką. (D. c. n.)



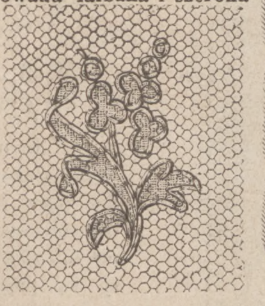
N. 23. Mufka z kokardą.



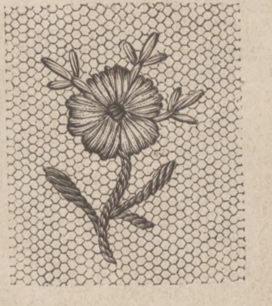
N. 27—28. Ubrania



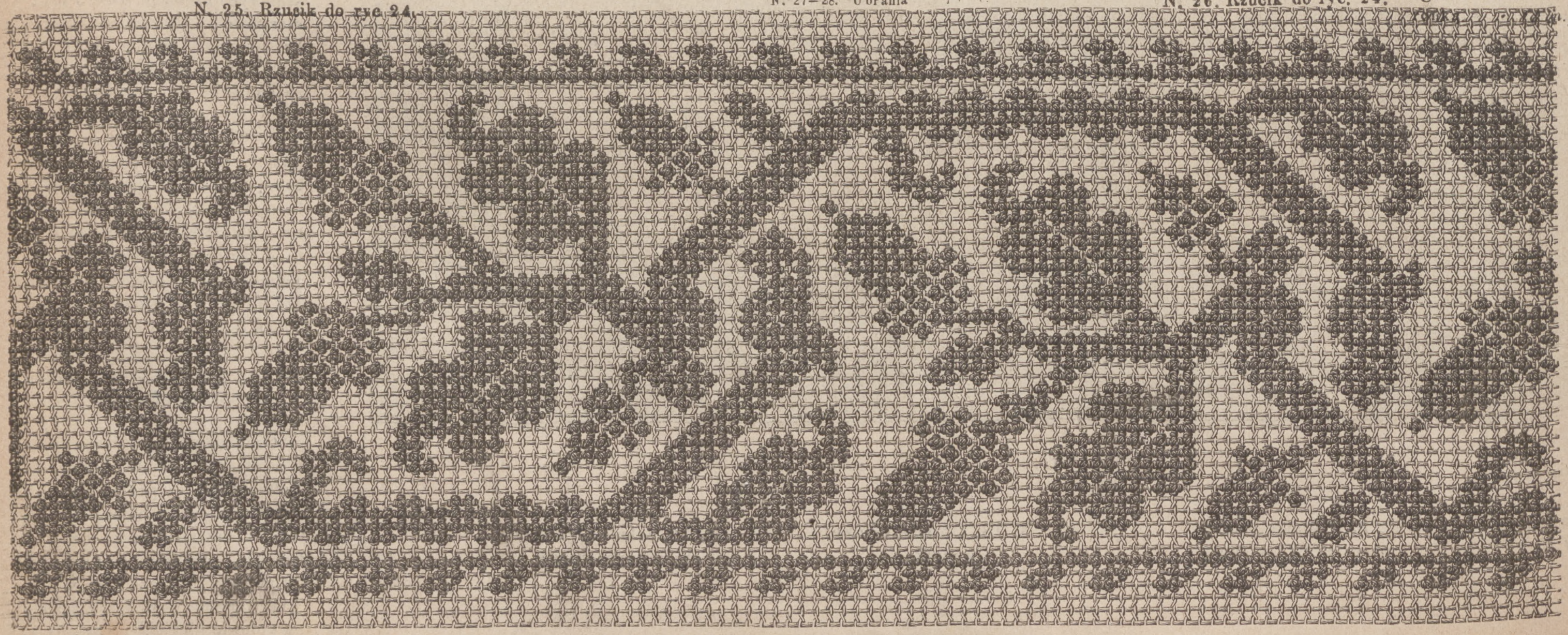
N. 24. Chusteczka wywodzona na tiulu. Patrz ryc. 24—26.



N. 25. Rzucik do ryc. 24.



N. 26. Rzucik do ryc. 24.



N. 29. Szlak wyszyty na kanwie siatkowej.



Pl. 454.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.